Nr. 2. Lwów, dnia 1. Lutego 1890. Rok XIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

W sprawie ustawy łowieckiej.

(Ciąg dalszy.)

§. 54.

Poszkodowany winien najpóźniej w ciągu dni trzech po wyrządzonej szkodzie, bezpośrednio lub przez władzę miejscową zawiadomić obowiązanego do wynagrodzenia, z wezwaniem o zgodne załatwienie sprawy.

Gdyby układ dobrowolny w ciągu dalszych trzech dni nie nastąpił, najpóźniej w czternastu dniach po nastąpionej szkodzie, pod rygorem utraty prawa do odszkodowania, wnieść zażalenie do politycznej władzy powiatowej.

Władza ta przedewszystkiem starać się będzie w dobrowolny sposób strony pogodzić, a jeżeli usiłowania jej pozostaną bez skutku, zarządzi sprawdzenie i oszacowanie szkody na miejscu, bądź to przez własne organa, bądź przez miejscową Zwierzchność gminną, o czem interesowanych zawiadomi.

Do sprawdzenia i oszacowania szkód w moc niniejszej ustawy do wynagrodzenia zakwalifikowanych, władza polityczna wyznaczy w każdym obszarze myśliwskim potrzebną liczbę stałych, godnych zaufania znawców, od których przysięgę odbierze. Z tych, każda ze stron interesowanych wybierze po jednym, i ci zajmą się sprawdzeniem i oszacowaniem szkody. W razie niezgodności ich orzeczenia, rozstrzyga ostatecznie trzeci przez władzę polityczną jako zwierzchnik naznaczony z pomiędzy zaprzysięgłych znawców, zamieszkały nie w tej gminie, gdzie szkoda nastąpiła.

Jeżeliby oszacowanie szkody z powodu niedojrzałego stanu ziemiopłodów nie dało się zaraz uskutecznić, powołani znawcy na wezwanie strony interesowanej w nieprzekraczalnym terminie dni 14 przed rozpoczęciem zbiorów oszacowania dopełnią.

§. 55.

Władza polityczna powiatowa na podstawie tego rodzaju dochodzeń i oszacowania szkody przez znawców, wyda orzeczenie tak co do wynagrodzenia szkody, jakoteż i co do kosztów postępowania.

§. 56.

Orzekającej władzy przysługuje prawo regulowania i oznaczania wysokości kosztów postępowania, w miarę uznania ich za potrrebne i słuszne.

Zasądzony na zapłacanie odszkodowania, sam ponosi wszelkie koszta postępowania; przeciwnie oddalony ze skargą obowiązany zwrócić oskarżonemu koszta poniesione przez niego dla skutecznej obrony.

W razie, gdyby poszkodowanemu przyznane zostało mniejsze wynagrodzenie szkody niż to, który obowiązany przy proponowanej przez władzę polityczną dobrowolnej ugodzie ofiarował, a które poszkodowany odrzucił, może władza orzekająca koszta postępowania stosunkowo między strony rozdzielić.

Jeżeli przed doniesieniem zażalenia do władzy oskarżony ofiarował poszkodowanemu wynagrodzenie nie mniejsze od tego, jakie mu wskutek dochodzenia przyznanem zostało, skarżący ponosi obustronne koszta postępowania.

VI. Karty myśliwskie i opłaty od psów.

§. 57.

Nie wolno polować nikomu bez wydanej przez właściwą władzę karty myśliwskiej, lub bez certyfikatu jej miejsce zastępującego.

§. 58.

Karty myśliwskie i certyfikaty wydaje polityczna władza I-szej instancyi, w której okręgu przebywa ubiegający się o ich wydanie.

Karty myśliwskie opiewać mają na imię jednej osoby, na czas roku kalendarzowego, w którym są wydane i mają ważność w całym kraju.

Karty myśliwskie wydawane być mogą i na lat trzy za opłatą z góry za wszystkie lata uiszczoną.

Osoby zamieszkałe za granicami kraju nie są uwolnione od obowiązku uzyskania kart myśliwskich.

§. 59.

Samo posiadanie karty myśliwskiej nie nadaje prawa do polowania na cudzym obszarze myśliwskim, bez zezwolenia uprawnionego do polowania na tym obszarze właściciela lub dzierżawcy.

§. 60.

Każda karta myśliwska podlega taksie 8 zł. od osoby i karty, płatnej do kasy urzędu podatkowego dotyczącej władzy politycznej, na rzecz funduszu krajowego.

§. 61.

Właściciele chartów opłacają od nich taksę po 10 zł. od każdej sztuki i otrzymują odpowiednie karty, co do których postanowienia w tej ustawie zawarte znajdą także swoje zastosowanie.

§. 62.

Opłacie taksy za karty myśliwskie nie podlegają:

a) straż łowiecka zaprzysiężona, z wyjątkiem uprawnionych do polowania, którzy w myśl §. 8. niniejszej ustawy dozór nad myśliwstwem w obszarze swoim obejmą; straż polna i leśna, o ile także dla dozoru polowania będzie zaprzysiężoną;

b) uczniowie szkół leśnych na czas ćwiczeń łowieckich na przestrzeniach ku temu przeznaczonych.

c) dozorcy trzód bydła na pastwiskach, równie jak właściciele gruntów w tej części kraju, gdzie zachodzi potrzeba ochrony od drapieżnych i szkodliwych zwierząt (§. 40.).

d) uczestnicy obław dla wytępienia szkodliwych zwierząt z zrzędu zarządzanysh.

Osobom wymienionym pod *a*, *b*, *c*, *d*, wydawane będą w miejsce kart myśliwskich certyfikaty ograniczone co do celu, czasu i przestrzeni, stosownie do udowodnionej w każdym wypadku potrzeby.

§. 63.

Udzielenie kart myśliwskich i certyfikatów myśliwskich odmówić należy:

a) małoletnim, wyjąwszy, jeżeli w ich imieniu ojciec lub opiekun, albo też dla uczniów szkół leśnych, zawiadowca szkoły podanie wniesie;

b) osobom, nie mogącym się wykazać kartą na broń (Waffenpassem);

c) chorym na umyśle, nałogowym pijakom i notorycznie znanym kłusownikom;

d) na przeciąg lat pięciu od upływu czasu odbytej kary osobom, które się dopuściły zbrodni przeciw bezpieczeństwu życia lub własności, albo też występku lub przekroczenia przeciw bezpieczeństwu życia z powodu nieostrożnego obchodzenia się z bronią palną; (§. 335. ust. kar.).

e) na przeciąg roku osobom, karanym za rozmyślne przekroczenie postanowień niniejszej ustawy.

Karta myśliwska lub certyfikat mają być bez zwrotu taksy odebrane i unieważnione, jeżeli po ich wydaniu zajdzie lub dojdzie do wiadomości władzy jedna z przyczyn wykluczenia pod *a*, *b*. *c*, *d* i *e* wymienionych.

§. 64.

Wpłaty taks wpływają do kasy Wydziału krajowego na rzecz funduszu krajowego.

§. 65.

Karty myśliwskie wydawane będą według wzoru *A*, certyfikaty według wzoru *B*, karty uprawniające do trzymania chartów według wzoru *C* i zawierać mają na odwrotnej stronie tabelarnie ułożony wykaz czasu, w którym poszczególne rodzaje zwierzyny i ptactwa podlegają ochronie w moc niniejszej ustawy.

VII. Przekroczenia myśliwskie i kary.

§. 66.

Kto poluje bez zezwoldnia uprawnionego do polowania ma być ukarany grzywną od 5 do 50 zł., a jeżeli polowanie odbywało się konno, grzywną od 10 do 100 zł.

Karanie kłusowników należy do kompetencji władz sądowych.

§. 67.

Jeżeli na wydzierżawionym obszarze myśliwskim kto z właścicieli gruntów, dzierżawcy lub temu, który z upoważnienia dzierżawcy poluje, przeszkadza w wykonywaniu polowania, albo takowe wstrzymuje, wyjąwszy przypadku §. 15. określonego, ma być karany grzywną od 5 do 50 zł.

§. 68.

Kto w zakazanym czasie zwierzynę i ptactwo użytkowe łowi, sprzedaje lub kupuje, prócz utraty odebranej zwierzyny i ptactwa na korzyść miejscowego funduszu ubogich, podlega grzywnie od 5 do 50 zł.

Takiej samej karze ulegnie, kto zaleconych §. 8. niniejszej ustawy dozorców myśliwskich nie utrzymuje, bez zezwolenia władzy dzierżawę polowania komu innemu ustępuje lub o zmianie dzierżawcy §. 30. przewidzianej dotyczącej władzy nie zawiadomi. Dalej kto w niedozwolony sposób (§§. 15. i 16.) poluje na obcym obszarze, postrzeloną zwierzynę ściga, na publicznej obławie łowi zwierzynę nie przeznaczoną do tępienia.

§. 69.

Ten, który swoje psy myśliwskie na cudzy obszar rozmyślnie sprowadza w celu gonienia, podpada karze od 1 do 10 zł.

SŁONKA.

Studyum przyrodniczo-łowieckie.

Napisał

Władysław Spausta.

(Ciąg dalszy.)

W późnej wiośnie słonka siedzi na jajach; dzieje się to już w maju; a gdy wyjątkowo składanie jaj zachwyci ją w podróży w takim razie zmuszoną jest wśród drogi pozostać. W gęstwi krzaków, pod starym pniem lub wśród odrośli krzewów leśnych ściele sobie gniazdo bardzo niewymyślne z trochę mchu lub suchej trawy, wygrzebawszy poprzednio nie wielki dołek w ziemi; w gniazdo to składa 3—4 jaj. Jaja są w porównaniu do ptaka bardzo wielkie, mocno brzuchate, o skorupie bez połysku, na żółto rdzawem tle brunatno znaczone i różnią się może pomiędzy sobą wielkością, w czem prawdopodobnie leży następnie różnica wielkości ptaków dorosłych.

Słonki gnieżdżą się zawsze parami, a obie pilnie biorą udział w wylęganiu jaj. Zdarzyło mi się kilka razy przydybać gniazdo słoncze z jajami, a raz złapałem w rękę słonkę na gnieździe siedzącą; innym znów razą przyniósł mi pastuch żywą słonkę w czerwcu, którą również złapał na gnieździe. W gniazdach, które widziałem, znajdowało się od 2—4 jaj, nigdy więcej.

Słonka, siedząca na gnieździe zrywa się z gniazda, gdy niebezpieczeństwo zdala spostrzegła: zaskoczona niespodziewanie dosiaduje w gnieździe, a barwa jej, jednocząca się z ziemią, ratuje ją najczęściej. Gdy po upływie półtrzecia tygodnia płód się wykłuje, nie sprawia on już wielkiego kłopotu rodzicom, jakkolwiek znoszą one swej dziatwie najrozmaitsze specyały, prześcigając się w tem nawzajem. Młode słonki natychmiast po wykłuciu się opuszczają gniazdo, rodzą się w opierzeniu a raczej w pałkach i są fizycznie doskonale ukształcone. Po trzech tygodniach zrywają się do lotu i wyłamują się z opieki rodzicielskiej, prowadząc odtąd życie samoistne.

Dopóki słonki pod opieką rodziców pozostają i latać nie umieją, ratują ich stare, unosząc w powietrze w razie niebezpieczeństwa. Pozostawione na ziemi umieją się te młodziutkie stworzeńka tak misternie ukryć w liście i zarośla, że tylko bardzo cierpliwy pies legawy wynaleść je potrafi. Nie miałem sposobności widzieć na własne oczy, w jaki sposób rodzice unoszą młode, powtarzam jednak fakt ów według podań przyrodników, zasługujących na wszelką wiarę i myśliwych. Według tychże chwyta stara słonka swe pisklęta nogami i przyciska zlekka długim dzióbem do piersi, unosząc je w bezpieczniejsze miejsca. Pominąwszy, iż podaniom ścisłych badaczy pod tym względem trzeba dać wiarę, musimy oprócz tego przypuszczać, że przyroda musiała jakimś sprytem zachowawczym obdarzyć tego ptaka, starając się o utrzymanie rodzaju. W ten tylko sposób zmniejszyć się daje niebezpieczeństwo, grożące młodym słonkom ze strony drapieżników rozmaitego rodzaju, niebezpieczeństwo tem większe, o ile że wszystkie zwierzęta drapieżne nadzwyczaj łatwo słonkę a nawet jej pielesze lub opuszczone gniazda zwietrzają. Doświadczyłem np. iż stare wyżły, których węch i zwrok z wiekiem stępiał, wyszukiwały jeszcze nieźle słonki, a wydarzyło mi się, iż taki stary wyżeł ściągał a wreszcie stanął zwietrzywszy dawno już opuszczone gniazdo słonki; był to po prostu ledwo widoczny dołek w ziemi.

Mniemano dawniej powszechnie, że słonka tylko raz w roku parzy się i jaja wysiaduje, nowsze jednak pod tym względem badania przedsiębrane w rozmaitych okolicach dowieść się starają, iż w latach przyjaznych lęgowi, słonka dwa razy jaja wysiada, zatem i po dwa razy ciągnie.

Spostrzeżenia te daleko łatwiej dają się tam uskutecznić, gdzie słonka całe lato przepędza u nas, na egzemplarzach sporadycznych, trudno jest czynić obserwacje, zwłaszcza w obec sposobu gnieżdżenia się tego ptaka i wrodzonej jego płochości; jakkolwiek i tu podania myśliwych o wyjątkowym ciągu słonek u nas latających w późnej już porze letniej, wiele dają do myślenia. Z własnego doświadczenia mogę tylko jeden wypadek podać, zdający sie dowodzić drugiego w roku lęgu słonek.

W roku 1873 mieszkałem w Juśkowicach w Złoczowskiem, dom mieszkalny otaczał park, w którym się gęste znajdywały zarośla i gdzie co roku na wiosnę i w jesieni po kilka słonek się zjawiało. Na wiosnę słonki te ciągnęły jakby w lesie, nie zwracałem jednak na nie myśliwskiej uwagi, bo w bliskich lasach były ciągi nie zrównane. Cieszyło mię jedynie tak bliskie ich sąsiedztwo. W lecie tegoż roku — a było to 7. lipca — żniwa były wczesne; półkopki żyta szampańskiego stały już w polu. Szedłem w dniu tym skwarnym, szukając cienia drzew parku, na pole, a za mną wlókł się stary legawiec, emeryt niedowidzający już, z wywieszonym od gorąca językiem. Przechodząc przez gęste zarośla leszczyny i trzmieliny, nad rowem, w którym było trochę wody, oglądnąłem się za starym „Bekasem“; stał o może o 20 kroków odemnie z zamkniętą już mordą i ogonem do góry jak pika podniesionym. Sądziłem początkowo, że stanął do zająca, kuropatwy lub jeża, a tych było tam mnóstwo, jednak gdy pies nie dawał się odwołać, poszedłem w to miejsce i począłem szukać. O kilka kroków od psa ujrzałem gniazdo słoncze a w niem 4 jaja. Starej na gnieździe nie było. Fakt widziany zanotowałem w pamięci, i powróciłem po trzech dniach do gniazda, lecz nie zastałem już jaj; prawdopodobnie mój bekas lub lisiura zjadł smaczną jajecznicę. Plan mój robienia dalszych spostrzeżeń rozwiał się zatem w niwec.

Takiemu to nędznemu losowi ulega w przyrodzie pokolenie tego szlachetnego ptaka, który z najnikczemniejszego robactwa urabia tak smaczny dla człowieka kąsek, a przytem jest przedmiotem tak pięknej rozrywki. I cóż znaczy krzywda, wyrządzona rodzajowi słonek rozsądnem polowaniem w obec tego spustoszenia, jakie sprawiają zwierzęta drapieżne?

Nie przekonany spotkaniem gniazda z jajami o tak późnej porze o dwurazowem lęgu słonek, uwierzyłem dopiero po zniszczeniu jaj, iż takowy w skutek niszczenia częstokroć następować musi. Ścisłego dowodu nie mógł dać dopiero co opisany wypadek; mógł to być anormalnie opóźniony płód pierwszy, a mógł być także lęg powtórny. Trzeba zaś pamiętać, iż cały akt lęgu trwa bardzo krótko, tak, iż pora letnia dozwala wygodnie lęgu drugiego, a ptakowi pozostaje do jesieni jeszcze dwa miesiące, w którym przez dobre odżywianie nabrać może sił do wędrówki na południe. Są to jednak wszystko rozumowania, a ściśle dowodowych materyałów nie ma, ba nawet paralela, pociągnięta pomiędzy słonką a 12—20 jaj niosącą kuropatwą, także będzie li tylko na przypuszczeniach opartą, gdyż oprócz liczby jaj i podobnych zresztą warunków lęgu nie podobna ująć w ścisłe daty stopnia niebezpieczeństwa, które grozi pokoleniom obu tych gatunków.

Wszystkim ptakom właściwa zmiana piór, tj. pierzenie się analogiczne lenieniu się zwierząt ssących, odbywa się u słonki bardzo powoli, mówią za tem dwie okoliczności: po pierwsze nie zdarza się o żadnej porze roku zobaczyć słonkę wypierzoną, owszem jest ona zawsze pięknie i gładko ubraną, a tylko drobiazgowe badanie piór udowadnia, że odbywa się tam powolna odmiana; powtóre, o każdej porze roku, w których słonki u nas przebywają, znaleść można pojedyncze piórka tego ptaka w miejscach, gdzie najwięcej przebywa, a osobliwie koło żerowisk. Mogą to być wprawdzie *corpora delicti* odbytych walk przy żerowaniu, — bo to i u wysoko organizowanych tworów się zdarza — mogą to być ślady zapasów i odbytych pojedynków między zakochanymi rywalami, ale mogą lęgi i dowody powoli postępującego pierzenia się.

Ptak, skazany na mozolne wyszukiwanie sobie pokarmu, na ciągłe loty i wędrówki, mający do walczenia z rozmaitemi wpływami nieprzyjaznemi, może się tylko w ten sposób utrzymać i z trudnościami walczyć, jeżeli powolne odtwarzanie materyi chroni go od nagłego upadku sił. Ptaki raptem wypierzające się są pozbawione w pewnej epoce ledwie nie możności lotu, a przynajmniej nie latają chętnie, gdyż im to z trudnością przychodzi.

Wolne pierzenie się słonki wywołuje pewne nieznaczne na pozór, ale przecież widoczne dla bystrego oka różnice w ogólnem ubarwieniu i gęstości pierza. Sama gęstość piór robi w całości wziąwszy zupełnie odmienne wrażenie barwne niż piór rzadkich, chociaż w tej samej co gęste barwie; pojąć to łatwo, znając prawidła tworzenia się wrażeń barwnych.

Jakkolwiek zatem różnice gęstości pierza u słonki w rozmaitych porach są bardzo małe, wywołać mogą jednak uchwytne dla oka różnice ubarwienia. Mniemam, że to a nie co innego jest także jednym z powodów mniemania, iż dwie odmiany słonek istnieją.

Słonka w ogóle nie jest wybredną co do miejsca pobytu. Znajduje się czasowo wszędzie w lasach, gdzie tylko żerowanie jest możebne, a ponieważ mało jest położeń takich, któreby wcale żerowaniu nie sprzyjały, wypływa ztąd, że bardzo szeroki i daleki jest jej teren. Na nagich moczarach, nie zarosłych krzewami lub drzewami, nie przesiaduje nigdy. Gatunek drzewostanów zdaje się jej być zupełnie obojętnym; również i topografia terenu nie wpływa na jej gust, przebywa w górach tak samo jak na terenie falistym, jeżeli tylko znajduje odpowiednią glebę do żerowania i jeżeli lasy w tych położeniach poprzerzynane są wilgotnemi dolinami. Najulubieńszym jednak terenem słonki są lasy nizinne o glebie pulchnej, wilgotnej a przepuszczalnej. Omija zupełnie lasy położone na ziemi suchej, piasczystej, gdzie albo mało lub wcale ściółki leśnej nie ma.

Bardzo wyjątkowo znajdują się wielkie obszary lasów, w takich warunkach. Zwykle wśród terenu piasczystego i skalistego znajdują się pasy świeżej gleby pruchnicowej lub napływowej, bądź koryta potoków rozlanych, bądź przeguby geologicznych warstw, odznaczające się innemi własnościami, to też nie ma prawie miejscowości, gdzieby ptak ten nie był znanym.

Przedmiotem eksploatacyi słonki jest warstwa powierzchowna ziemi ze swą zawartością, dla tego też zwraca słonka głównie na nią swą uwagę, a reszta zdaje się być jej obojętną. Nie dziw za tem, że szczególniej przyciąga ją gleba lasów nizinnych, w której wnętrzu kryją się zawsze świeże pokolenia robactwa, owady leśne w rozmaitych swych przeobrażeniach. Nie mniej pruchnica leśna, powstała z liścia i innych odpadów organicznych jest miejscem lęgu wielu bardzo rodzajów owadów i robactwa. Ściółka ta, będąc w rozmaitych stadyach rozkładu, prócz tego, iż jako mechaniczne okrycie i bardzo zły przewodnik ciepła chroni ziemię od głębokiego zamarzania, znęca do tego rozmaite robactwo i owady ciepłem, wywiązującem się w skutek rozkładu. Warstwa ta ze swą zawartością bardzo ważną gra też rolę w życiu słonki. Nieraz warstwa ta ratuje ją od śmierci głodowej, gdy już inne żerowiska zamarzły, a pora do dalszej wędrówki nie sposobna. Już gołem okiem widzieć można w takiej ściółce rozmaitych kształtów poczwarki, gąsienice i jaja a zwykła lupa odkrywa jeszcze dalsze niezliczone organizmy, w takiej warstwie nie braknie zatem słonce nigdy pożywienia.

Słonka pobiera żywność wyłącznie ze świata zwierzęcego; żeruje na ziemi, nigdy nie chwyta żeru w locie jak to czynią inne owadożerne ptaki, do żerowania na ziemi służy jej długi dziób, opatrzony nadzwyczaj subtelnemi kończynami nerwów. Rozum zdobywania żeru spoczywa więc na końcu dzióba, zaopatrzonego w przedziwny aparacik nerwowy, za pomocą którego może słonka bez użycia wzroku rozróżnić odpowiedni dla siebie pokarm już to w ściółce leśnej, już to w miękkiej ziemi, w namule, w płytkiej wodzie, bagien i kałuży leśnych.

Z pomiędzy tysiącznych rodzajów potraw słonki oto główny jadłospis. który prawie w każdym lesie jest do dyspozycyi. W ziemi, w ściółce leśnej i odchodach zwierząt znajduje różne przemiany chrząszczy wachlarzorożnych *(Lamelicornia)*, jakoto żuka *(Geotrypes)* krowieńczaka *(Copris)* itp., z pałkorożnych omarlice *(Sylphidae)* ćmów zmierzchnicowatych *(Sphingidae)*, poczwarki owadów wojsiłkowatych *(Panorpidae)*, jajka pasikonika zielonego *(Locusta viridisima)*, w ziemi, namule i bagnach rozmaite robaki, jakoto pierścienica, a mianowicie dżdżownice *(Lumbricus terrestris)* rureczniki *(Tubifex)* itp., dalej najrozmaitsze drobne małże i ślimaczki, a w wodach płytkich rozmaite przeobrażenia jętek *(Ephemera)*, gąsienice chrząszczy pływakowatych *(Hydro-philidae)* itd... Wyliczenie wszystkich tych specyałów jest czystem niepodobieństwem!

Gdy pierwsze promienie wiosennego słońca padną na ziemię, rozpoczyna się zaraz ruch i życie w świecie owych dotyczczas w letargu pogrążonych tworów owadzich i robacznych; wszystko zaczyna się ruszać, łazić — wszędzie życie; a życie kolosalne, życie kroci tysięcy rodzaji a miliardów indywiduów. Czy słonka przebiera w tym obfitym pokarmie, tego nie podobna dociec, to pewna jednak, że w żo-

łądku jej znajdują się zawsze dające się odróżnić resztki jednych, choć żeruje w miejscach, gdzie się i inne znajdują.

Tak samo na wiosnę jak i w jesieni przebywa słonka w ciągu dnia na ziemi, zachowując się spokojnie, i rzadko kiedy biega. Dopiero o zmierzchu wieczornym lub z rannym brzaskiem wznosi się na skrzydłach i przelatuje z miejsca na miejsce, szukając za żerem. Tutaj zatrzymuje się i bądź podważa dzióbem liść lub miększą pruchninę i żeruje, bądź wpycha dziób w muł i wyciąga z niego robactwo, przyczem czyni najzgrabniejsze lecz zarazem i komiczne poruszenia. Żerując w ten sposób, pozostawia słonka po sobie ślady, a mianowicie charakterystyczne dziurki od dzióba w namule, niemniej do pewnego stopnia poruszoną ściółkę leśną. W ten sposób zaznacza swój w lesie pobyt, a znaki te są tak charakterystyczne, iż wątpię, aby się kto mógł pomylić.

W porze jesiennej, gdy słonka wzlatuje jedynie za żerem, zachowuje się zupełnie cicho, tak, iż lotem swym nie zwraca na siebie zupełnie uwagi. Mknie cichutko pomiędzy drzewa lub zarośla, a jest latawcem znakomitym umiejącym wybornie panować nad żywiołem w którym się obraca. Potrafi wzlecieć prawie prostopadle z miejsca, a wzniósłszy się do pewnej wysokości, leci z chyżością ogromną pomiędzy gałęzie i pnie, nie dotknąwszy niczego po drodze. To też ta siła i pewność lotu jest powodem, że w chwili niebezpieczeństwa skrzydłom swój ratunek powierza, jakkolwiek chodzi dobrze, a biega wyśmienicie.

Zdolność słonki we wznoszeniu się prawie w kierunku prostopadłym z ziemi, wypływa z anatomicznej budowy i sposobu osadzenia skrzydeł, względem tułowiu tego ptaka. Słonka, porywająca się w gęstej zarośli, rozkłada niemal w poziomą płaszczyznę swe skrzydła a uderzając niemi o powietrze, w prostopadłym wznosi się kierunku. Przy ukośnej płaszczyźnie skrzydeł byłoby to niemożebne, a ptaki takiemi skrzydłami opatrzone wznoszą się w linii ukośnej.

(Dokończenie nastąpi).

POLOWANIE NA DZIKA.

Przygoda prawdziwa.

Już z za gór śnieżnych słońce wyzierało,
Światu całemu ruch, życie wracało;
Zajączek zwolna kicutał na pole,
Gdzie oziminą zasiane miał role,
To stawał słupka, patrzał, pilnie słuchał,
To znów wylękły, jak szalony dmuchał —
Wreszcie przystanął i capką się musnął
I zakołkował, przycupnął i usnął.

Sarna, rzuciwszy gęstwy osik ciasne,
Sunęła lekko, tam gdzie zręby jasne;
Siuty szły naprzód a rogacz za niemi,
Szły lekko, ledwo dotykając ziemi.
Bo takie w sarnim rodzie są zwyczaje:
Że płci nadobnej rogacz prym oddaje.

Lis wyjrzał z nory, ogląda się bacznie,
Słucha, czy ogar jaki grać nie zacznie,
Lecz słuchem, ślepiem snać uspokojony,
Nos na dół spuścił i w dalekie strony
Ruszył, dumając jak smalić cholewki,
Gdzieś do zajączka, lub kuropatewki.
Jeden dzik tylko jak zbój światło mija
I gdzie najciemniej, barłogi rozbija.

Że ponowa przypadła, mroźno i zwierz chodzi,
Myślę sobie: Ot! żbika wytropić się godzi.
Gdy tak łowy układam, jak na zawołanie
Wpada do mnie Michałek krzycząc: „Jaśnie panie!“
„Oto raport w tej chwili z Kotoryn oddają,
„Że dużego odyńca obciętego mają“.
„Michałku — wołam — sztuciec! Jedziemy na łowy!
„Do sanek szpak i gniady! Z psami bądź gotowy!“
A no i jam już gotów. Sanie zajeżdżają,
Wszyscy uszczęśliwieni, a pieski szczekają!
Trzy psiaki z nami poszły, reszta w drugie sanie —
Tak wsiadamy i dalej — hej na polowanie!
Ruszyliśmy z kopyta.
Wtem na kiju sparty
Wyszedł Grześ, stary strzelec, z jamniki i charty.
„Przepraszam — no i tego — Wstrzymam jaśnie pana“
I to rzekłszy, jak zwykle, wziął mię za kolana —
„Przepraszam no i tego (takie miał przysłowie)
„Trza obok mostu stawać, a na samym rowie.
„Jaśnie pan niech podchodzi, a zwolna za psami!
„Oj, miewałem ja nieraz przeprawy z dzikami!
„A psów na raz nie puszczać, dwa lub trzy najwięcej!
„Raz pan kazał sześć puścić, to coś pięć miesięcy
„Trzy się biedne lizały, reszta w miejscu ścięta
„Została. Biedne! biedne! biedne moje psięta!
„A trza dobrze uważać, aby nie ściął pana?
„Że ja jechać nie mogę!... Godzino skarana!...
I nie mógł Grzesio jechać, bo już jest za stary,
On dziadom jeszcze moim podkładał ogary!
A żem dziś jego rady nie usłuchał młody,
W żałość mi się zmieniły te myśliwskie gody.

Wkrótce knieja, w potężne sterczące konary,
Przyjęła nas, głębokie ukazując jary.
Tu mi tropy wskazano, którędy zwierz wchodził.
Tum mu też psy podłożył i przejście zagrodził.
Dwóch nas stało z tej strony, dwóch z drugiej parowa,
U każdego ochota, broń, baczność gotowa.
„Puszczaj na trop Dunaja!“ poszedł psisko stary,
Weteran zasłużony, co nieraz ofiary
Z własnej niósł dzikom skóry. Cały poszarpany,
On szedł pierwszy i pierwszy wołał psiarnię w tany.
„Ha!... cicho!... oszczekuje!... lecz głos w dali słabnie,
„Puszczaj dalej Hektora!“ Ruszył Hektor zgrabnie,
Oba głoszą, a Mirka spuszczona z łańcucha
Zdala nieco się trzyma, to szczeknie, to słucha.
„Coś głos poszedł daleko! A to co takiego?

„Chłopcy! Puszczajcie teraz Dunaja młodego!
„Bo głos się wciąż oddala a zwierz się unosi
„I psiarnia idąc za nim coraz dalej głosi.
„Dalej, puszczajcie Brysia! Puszczajcie Rozboja...
„Wszystkie!“ krzyknąłem.
Poszła cała psiarnia moja!
Bo mnie zapał ogarnął, krew zawrzała młoda,
I nie dbałem, co mówił Grześ, że piesków szkoda...
Wre w kniei, jakby szatan rozwarł bramy piekła,
Nastąpiło spotkanie i walka zaciekła,
Poznaję, że się pieski wybornie sprawiły!
W miejscu głoszą! Odyńca mi już osadziły!
Biegnę więc by go ubić i ostatne tchnienie
Dobywam, drę przez krzaki. Wtem słyszę skomlenie,
Biegnę dalej — cóż widzę? Faworyt wybrany,
Najszybszy, najzjadlejszy, Brysio mój kochany
Do nóg mi się przyczołgał, krew z boku się lała,
Spojrzał tylko i zginął! Ha, zemsta zawrzała
W mem sercu, więc ująwszy sztuciec silnie w dłonie,
Rozszalały, rozjadły, znów na przełaj gonię.
Cóżto!? znów nowe jęki?... Nie... to mi się zdaje...
Znów skowyt... Ha! łotr całą psiarnię mi wykraje!
Spieszę się, wreszcie staję, w okół psy szczekają,
A ja w środku! Gdzie dzik jest? Czyż uszedł przed zgrają?
Reszta psów, wystraszona towarzyszów losem,
Zdala już postępuje za strasznym kolosem;
Cała psiarnia wylękła, zmięszana, rozbita —
A dzik jak strzała pomknął, ruszywszy z kopyta.
Znów ostrzej idą za nim. Znów go doganiają,
I ponad stromą ścianą Dniestru osadzają.
Dzik zmęczony, rozjadły. wściekłością pijany,
Znowu się za psem puszcza... chybił... I ze ściany,
Nie mogąc wstrzymać pędu, w Dniestru zapadł toni,
Pod lód poszedł!
Oh zemsto! nie zginął z mej broni!

Słońce się zwolna kryło za góry i jary,
Ponuro w uszach szumiał nasz Dniester prastary,
Las, przed chwilą bojowym wrzaskiem napełniony,
Znów stał cichy, posępny, jakby odrętwiony.
Gdy wtem psy, widząc ległych towarzysz, męki,
Wszczęły lament i skowyt i wycie i jęki,
Że aż serce bolało, jak ta psiarnia cała,
Walecznych druhów swoich zgon opłakiwała,
Ha, nie masz Brysia, nie masz Dunaja Młodego!
A Rozbojaśmy wieźli strasznie pociętego;
Gdy zaś z tych dziwnych łowów przed dom zajeżdżałem,
Zapłakał Grzesio stary, zapłakał z Michałem.
A i mnie z tych psów dzielnych każdy był tak miły,
Że także w mojem oku łzy się zakręciły.

A. S.

STARY PUHACZ.

Jest między zimą a jesienią jedna chwila przejścia tak posępna a urocza, że zdaje się mówić do ciebie głosem kameduły: *Memento mori...*

Ziemia przygotowuje się wówczas na ostatnie tchnienie, na przyjęcie śmiertelnego całuna zimy. I śmierć zda się wówczas chodzić po lasach — nie ta straszna, w kurczach bolu i przerażenia — ale ta spokojna, wielka, poważna, mówiąca: jam jest końcem wszelkich boleści, jam wyzwoleniem z niedoli, jam początkiem lepszego życia.

Babskie lato nie świta już wówczas ziemi. Snująca się z wiatrami przędzę Matki Boskiej spłukały obfite deszcze jesienne — wicher naszamotał się z drzewami, chcąc je z liścia obedrzeć — przelotne ptactwo umknęło już ku południowi, w ranki coraz zimniejsza snuje się mgła coraz cięższa, — aż nareszcie przyszła noc pogodna, gwiazdy się wyiskrzyły i nad ranem drzewa i trawy obsiadł gruby szron, który się już i słońca wschodzącego nie boi.

To głucha jesień.

Choć słońce się wzniesie i wszędzie zaglądnie, niczego już nie ożywi. Spóźnione skabiozy zwiesiły główki kwiatów zmrożone, wrzos spełzł i zczerniał, na płytkich kałużach lśnią cienkie szybki lodu, rydz i kozar stoją jeszcze w głębi zapustu sosnowego udając, że żywe, choć zbabczone, a w wielkim lesie cisza i cisza, wzdychająca tylko chwilami: *Memento mori.*

Patrzaj wówczas na lasy i podziwiaj tę paletę barw, któremi głucha jesień chce dorównać rozkosznym ponętom ata. Niewytrzymała osika drzy już tylko nielicznemi, szaro-zielonemi i czarno plamionemi listkami, odsłaniając pień swój brudno-popielaty — klon, żółty jak wosk, czerwieni cię coraz bardziej od zimna i plamami krwi bryzga po obrazie kniei — grab żółknie i rdzewieje, a buk sterczy jeszcze w pełni liścia i szeleści nim sucho, ale cały bronzowy i rudy jak miedź — brzoza na pół nagiemi chwiejąc warkoczami białą korą swych pni zdaje się już śnieg zapowiadać, — a wśród tej przedziwnej barw mieszaniny śmieją się tylko wiecznie zielone sosny i świerki...

Wszystko to trzyma się jeszcze i udaje życie — ale śmierć sunie cicho lasem i dmucha, a gdzie dmuchnie, tam z szelestem pada chmura liści, nagie tylko zostają szkielety, i w powietrzu cichy jęk się rozchodzi: *Memento mori.*

* * *

...Na taki to krajobraz patrzyłem leżąc na skale. Strzelba spoczęła u nóg moich, zdawało mi się, że nie mam prawa przesyłać z niej śmierci tam, gdzie wszystko już samo do snu wiecznego się kładzie.

Zresztą po wczesnej zabawie myśliwskiej, gdy święty Michał łowy otworzył, wydała się teraz knieja dziwnie pustą i głuchą. Szarak mknął w pole przed kaskadami liści, lis kręci się koło jamy, zapędzony do niej minioną słotą, dzik żeruje gdzieś w bukowej gęstwinie...

— Któż tu więcej z żyjących prócz mnie?

Gdym mimo woli wyrzekł te słowa, ozwały się kroki na kamienistej ścieżce i z poza krwawych klonów wychyliła się postać wysoka — duch, czy żywy człowiek.

Szedł wyprężony jak struna, wyschły jak szczypa, siwy jak kora bukowa, ze starą kabzlówką przez ramię, w lisiej czapce uszatej, w wyszarzanym kubraczku baranim, i w ciężkich, wysokich butach. Jakaś trąbka odwieczna, rożek na proch i torba borsucza uzupełniały ubranie tego dziwnego, chodzącego szkieletu. Profil twarzy wyskakiwał z pod lisiej czapki ostremi liniami. Brwi krzaczyste i siwe, zrośnięte na czole, sterczące kości policzkowe i zagięty krogulczy nos przypominały drapieżnego ptaka. Bronzowa, spalona słońcem, zaszuszona wichrami cera, nie dawała poznać wieku. Siwe, okrągłe, kręcące się pod brwiami oczy spoglądały jak gdyby z otchłani dawno minionej przeszłości.

Szedł ku mnie i nie spuszczał ze mnie oka, przechodził obok i jeszcze patrzył, minął mnie i zwrócił się, a przysłoniwszy suchą ręką oczy od światła, jeszcze patrzył. Zdawał się mówić: Zkąd to młode życie w tej krainie śmierci? Czyż to jeszcze nie koniec?

* * *

Pierwszy raz zapuściłem się w tę ustroń górską i pierwszy raz widziałem to zjawisko. Gdym jednak o nim, wróciwszy do domu, powiedział miejscowym ludziom, odrazu mnie objaśnili, kto to był.

— Stary puhacz.

Inaczej go nie nazywano i nawet innego nazwiska jego już nie znano. Ci, co go dawniej znali, już nie żyli. A zresztą, na co było komu potrzeba innego nazwiska? „Stary puhacz“ — to wystarczało. Tak sobie mówili pastuchy, kosarze i kłusownicy, tak go nazywały baby i żydzi arendarze, z którymi od czasu do czasu prowadził zamienny handel za skórki i zwierzynę.

Gdy mnie minął, szedł dalej ku szczytowi uboczy, na której leżałem. Widok z tej strony kończył się uroczą bardzo ruinką myśliwskiego zameczku. Po obu stronach ruiny, z po za gęstwiny jałowców, wychylały się dwa krzyże, niemal równo odległe od zameczku, a górujące nad stromą przepaścią po drugiej stronie góry.

Czy „Stary puhacz“ miał swą norę w tej malowniczej ruinie?

Prawdopodobnie. Do niej wszedł i zniknął w jej załomach. W krótce na ciemniejącem tle nieba ukazała się biała, cieniutka struga dymu. Tak, to nie wątpliwe. Stary puhacz miał w ruinach swą norę. Było to zupełnie w porządku.

Wieczór już zapadał. Zarzuciłem strzelbę na ramie i schodziłem na dół.

* * *

Starego puhacza znało każde dziecko. Co dzień, jak automat, obchodził kilkuset-morgową, górską knieję, pełną przepastnych parowów i starodrzewu, którego od lat trzydziestu siekiera nie tknęła. Pastuszki, widząc go na skraju lasu, odbiegali bydła i biegli za nim wołając „Puhacz, puhacz!“ — a on, nie zwracając na to uwagi, przemykał jak cień. Pastuchy i kłusownicy nie lubili go, gdyż ich karcił surowo za szkody, pilnując lasu i zwierzyny jak oka w głowie. Nie raz przychodziło do ciężkich starć, a ile śrótu z fuzyjek kłusowniczych miał Stary puhacz pod swą skórą — nikt tego nie zliczył. Pojawiał się niespodziewanie w księżycowe noce lub przed wschodem słońca, ukazywał się jak duch i znikał jak duch groźny dla szkodników. W swej ruinie był bezpieczny; tam, wedle powszechnej wiary straszyło i nie było śmiałka, którypy się tam zajść odważył.

Stary puhacz rzadko strzelał, ale gdy strzelił, to prochu nie zepsuł. Spuszczał słonki na ciągu, czasem odyńca w parowie położył, na dodniówkach bił czasem kozły, idące do pójła, lub jelenia na rykowisku, sprzątał napotkane po drodze szaraki — ale rzadko w ogóle bił zwierzynę. Wyjątek stanowiły lisy, którym nigdy nie przebaczał, wilki, które z gniazd szczeniętami wynosił i dusił, wreszcie kuny, żbiki lub rysie, które umiał dziwnie tropić i tępić. Skóry z tych zwierząt były jedynym jego dochodem; zakupywał za nie kartofle, krupy, sól i tytoń — rzadziej sprzedawał zwierzynę, którą się i sam żywił. Zresztą nie miał żadnej służby, żadnej płacy, żadnego pana. Od lat dwudziestu nikt nikogo innego nie widział w ruinie i w lesie tylko Starego puhacza; mówiono, że pan gdzieś przepadł i ślad o nim zaginął.

Wszystko to obudziło we mnie ciekawość dla tej dziwnej figury. Zaraz nazajutrz wyszedłem, aby go spotkać i widzieć, i odtąd co dzień natykałem się na niego w górskich moich wycieczkach.

Zawsze mnie mijał patrząc długo i ostro - zawsze się oglądał przytykając rękę do czoła, lecz nigdy się nie zatrzymał i nie pozdrowił.

Raz zbliżył się wreszcie i przestrzegł krótko i dumnie, żeby nie polować na obcem — potem zapytał o nazwisko, a gdym mu je wymienił, machnął ręką i poszedł ku górze.

Tym razem nie mogłem poskromić mej ciekawości i puściłem się za nim. Drożyna zaprowadziła mnie aż do ruiny myśliwskiego zameczku.

Było to cudo w swoim rodzaju, do połowy leżące w gruzach, do połowy zaś podtrzymywane zagadkami równowagi, podkładanemi kamieniami i kłodami, chronione tu i owdzie dranicami od deszczów i zaciekania. Jakieś oddrzewia z twardego piaskowca w stylu starego renesansu włoskiego, jakaś zatarta i strzaskana tarcza herbowa, jakaś resztka marmurowego kominka, gruzem do połowy przysypana, świadczyły, że było to nie wielkie, ale pańskie ongi gniazdo. Wszystko to zaś płonęło po czarodziejsku w czerwonawem świetle jesiennego słońca, otulone splotami stuletniego i wiecznie zielonego bluszczu na tle czarnej kniei.

Zbliżywszy się i obszedłszy ruinę na około, nie widziałem nikogo; nie odkryłem nawet żadnego wejścia, żadnej skrytki, gdzieby mógł przebywać człowiek. Jużem chciał odchodzić, gdy wtem wzrok mój padł na jeden z krzyżów, i tuż pod nim, na niewielkiej mogiłce ujrzałem siedzącego Starego puhacza.

Podszedłem ku niemu. Zdawał się mnie nie widzieć. Usiadłem koło niego. Wstrząsnął się, jak gdyby dziwiąc się mojemu zuchwalstwu, spojrzał wzrokiem, z którego skry się sypały, a potem spuścił znów głowę na piersi i rzekł jakby sam do siebie:

— Gdybyś nie był do niego podobny...

To było nasze zapoznanie. Widmo przemówiło raz i drugi, więc nie mogłem go opuścić, nie zaglądnąwszy do głębi tej zaschłej piersi.

Wydobyłem z torby kapczuk z drobno krajanym tytoniem, zmusiłem niemal Starego puhacza, że nałożył fajkę — i przy kłębach dymu rozwiązał mu się język.

Jeszcze raz wpatrzył się we mnie długo i uważnie, jeszcze raz zapytał, jak się nazywam, jeszcze raz jął kiwać głową i wzdychać, a potem, oblany czerwieniejącem coraz bardziej światłem zachodzącego słońca, tak mówił:

* * *

...Jesteś do niego bardzo podobny, ale to inna, całkiem inna rodzina. Zresztą, onby już był dziś o dwadzieście lat starszy od ciebie. Tam leży, tam — już tylko proch z niego.

Rzekłszy to, wskazał na drugi krzyż, wznoszący się po przeciwległej stronie ruiny.

...Był wyższy od ciebie, silniejszy, barczysty, walny chłopiec, krew z mlekiem, a jaki słodki, a jaki myśliwy!... Gdym mu psy od Garbatego Wiercha podłożył a zatrąbił, to jak sokół rzucał okiem, jak ogier strzygł uchem, jak jeleń sadził przez potoki, a zwierza z pod swej lufy nie wypuścił. Bywali tu zawsze o tej porze z swym ojcem i mieliśmy grania po całych górach... Pałasz i Szpilka dokazywały cudów, a inne pieski za niemi. Albo gdy przybywali na bekowiska jeleni... Lecz wszystko się to skończyło, tylko ja jeszcze żyję...

Całemi laty, ja jeden tylko pilnowałem tu i zwierza i lasu. I nieraz cno było samemu. Owdowiałem rychło, córka mi się zmarnowała — ot, jak dziewka, sama i bez nadzoru, na służbie dworskiej, — nie długo pożyła i zostawiła mi wnuczkę, dziewczynę jak tarkę, a przytulną jak łasiczkę. Nie miałem serca oddać jej na obce ręce, zostawiłem przy sobie, myślałem, że w lesie łatwiej się ochroni niż między ludźmi — trzymałem ją przy sobie — i to było nieszczęście nas wszystkich.

Nie wiem zkąd Oleńka nauczyła się dziwnych rzeczy i dziwnych śpiewów — czy z książek zbutwiałych, co były w starej szafie machoniowej, czy z gwiazd, czy od leśnej paproci, w którą się stroiła, czy z promieni księżyca — ale gdy jęła mówić a spiewać, a biegać po lesie — to ptaszek nie dziewczyna, to jakaś mijawka leśna — i tak ci się wkradała do serca, żeś musiał ją przyhołubić i oczy jej całować.

Pieściłem ją, ale ona chętniej patrzyła na panicza i serce mu oczarowała. Nie widziałem ja zrazu tego, bom już wtedy był stary, ale gdym ich raz zeszedł nad potokiem, przy „Czarcim stole“, skrytych wśród paproci — buchnęło na mnie jak żarem i poznałem całe nieszczęście.

Oni zaś patrzyli na mnie jasno, serdecznym wzrokiem, i mówili tak, jak gdyby cały świat czekał na nich z uśmiechem, jak gdyby to już po bożej woli nie mogło być inaczej, i jakby oni oboje już tylko do siebie należeć mieli do śmierci.

Czy nie wiedzieli, że pan z panów był ojciec? Że raczej zdeptać, niż zezwolić na nierówny związek? Szczególniej był łaskaw ten pan na mnie i na Oleńkę, dawał ją uczyć i obsypywał darami, dobry był, ludzki, ale dumny. Wiedziałem ja to i patrzyłem w rychłe nieszczęście jak w przepaść pod nogami.

Daremnie panicz rzucał się do nóg ojcu, daremnie się zaklinał, że w inne śluby nie wejdzie. Ojciec go kochał jak krew własną, jak swą duszę — ale siedział niewzruszony, a blady i pełen dziwnego przerażenia.

Wtedy ja myślałem, że ta dumna dusza się chwieje, że można ją przebłagać, i sam jąłem prosić. A on wstał jak trup blady i kazał odejść paniczowi, a sam przystąpił do mnie, i patrzył w oczy długo, za pierś pochwycił i wstrząsał, aż wreszcze rzekł głucho i dobitnie:

— I ty stary głupcze o to prosisz? I ty nie wiesz, kim jest twoja wnuczka? Krew jedna w nich się pali, kazirodcze to głosy... Potępienie dla mnie...

I zakrył twarz rękami i trząsł się, a mnie płomienie ogarnęły i w tych płomieniach widziałem mego dobroczyńcę i uwodziciela mej córki w jednej osobie i zacisnąłem rękę na fuzyi...

Zdawało mi się, że to wieczór ostatecznego sądu. Szedłem jak gdyby obuchem w głowę uderzony, a panicz znowu padał i błagał, a potem słyszałem krzyki i klątwy, aż wreszcie biedny mój panicz wybiegł tam, ku górze, i wkrótce strzał rozległ się echami po kniei...

Była to noc i księżyc świecił jasno, jak teraz. Gdyśmy przypadli do niego, już nie żył. Krew szeroką raną sączyła się na bluszcze i paprocie...

Oleńka klęczała przy nim długo, całowała czoło i oczy, a była jak duch blada i milcząca. A potem szła powoli i przyszła na to miejsce, tutaj, gdzie teraz siedzimy, i pomodliwszy się chwilę, cicho, bez jęku, rzuciła się w tę straszną przepaść...

* * *

Zamarł głos w gardle Staremu Puhaczowi. Fajkę dawno już był odłożył. Teraz patrzał przed siebie wzrokiem bez wyrazu, a potem dźwignął się ciężko z mogiły, ukląkł pod krzyżem i mruczał półgłosem pacierz.

Słońce schowało się już za góry. Różowa smuga na zachodzie znaczyła ostatni ślad jego istnienia. A księżyc stał już wysoko, gotowy do podróży po smętnem niebios sklepieniu. Blady brzask zorzy wieczornej konał w potokach srebrzystego światła, które przesączało się cicho przez szkielety drzew.

Wstałem i spojrzałem w przepaść.

Wystające tu i owdzie skaliska błyszczały w świetle księżycowem pośród ciemnej przepaści, porośniętej rzadkim jałowcem. W głębi szumiał potok. Zdawało mi się, że widzę białą postać, która zlatuje jak pióro na dół i nurza się powoli w cieniach zagadkowej głębi.

* * "

— Powiedz mi — mówił Stary Puhacz, gdyśmy schodzili na dół — jakim cudem może człowiek wytrzymać tyle nieszczęścia i żyć jeszcze? Kochałem ich oboje z całej duszy, bo tylko to miałem do kochania — straciłem ich, a przecież wytrzymałem... Pochowałem ich oboje, jego tam, a ją pod tym krzyżem i żyję, prawdziwie stary puhacz...

W pana mego uderzyło to nieszczęście jak piorun, ale także nie zabiło. Ostać się nie mógł w kraju. Wyjechał. I jeździ pono jeszcze teraz, albo może i nie żyje. Nic nie wiem. Zrazu dochodziły mnie wiadomości. Był w Algierze, między Arabami, i na lwy polował, potem szukał hyen w nubijskiej pustyni, potem był aż gdzieś daleko za morzami i wyprawiał się na pantery i na szare niedźwiedzie. Szukał zapomnienia i śmierci. Czy je znalazł, któż wie? Od kilku lat nic już o nim nie wiem — a sam żyję i żyję — stary puhacz...

Pytałem go, ile lat sobie liczy?

— A któż tam wie? Będzie może dziewięćdziesiąt, może więcej...

* * *

Głucha jesień przeszła niespostrzeżenie w zimę czarną, bezśnieżną.

Zapędziłem się znowu ku ruinie myśliwskiego zameczka. Gdzie Stary Puhacz? myślałem — i szukałem go na okół. Ujrzałem go na mogile Oleńki. Leżał nieruchomy. Gdym się zbliżył, nie podniósł się wcale. Gdym się nachylił, spostrzegłem, że nie żywy. Był już skostniały. Śmierć zaskoczyła go na modlitwie. Mógł już nie żyć od ranka, może od południa. Umarł w pełnym rynsztunku myśliwskim.

Gdym się wpatrywał w tę twarz marsową, ogorzałą, prawie nic nie zmienioną, zaczęły cicho spadać duże płatki śniegu. Padały na ten włos siwy i na te oczy na pół odchylone i nie topniały już na nich, lecz układały się w puch biały, lekki, błyszczący.

— Leż pod tym myśliwskim całunem — rzekłem żegnając go wzrokiem i ręką i kierując swe kroki ku wiosce — Leż, zanim przyjdę z ostatnią domowiną z tarcic, aby cię zanieść na mogiłki...

St.

REMIZY*).

Remizami nazywamy sztucznie zakładane albo naturalne, tylko sztucznie przysposobione niskie krzaczyste a gęste zarosty, w których zwierzyna drobna, przedewszystkiem kuropatwy i zające znachodzą spokojne, wygodne legowiska, zasłonięte od ostrych wiatrów, dające osłonę przed mocniejszym nawet gradem a razem do pewnego stopnia chroniące przed drapieżnem ptactwem a nawet czworonożnymi drapieżnikami, w gąszczu remizy nie mogącymi się tak swobodnie poruszać, jak na otwartem polu albo w zwyklym lesie.

Na remizy obiera się miejsca leżące daleko od miejsc zamieszkałych i od dróg bitych, ażeby zwierzyna o ile można mało była niepokojoną. Najczęściej zakładane bywają w okolicach bezleśnych albo posiadających nie wielkie, skąpo podszyte wysokopienne lasy — zakładane jednak bywają także w okolicach lesistych ale ubogich w krzaczyste zarosty, jak to się zdarza w okolicach piaszczystych z lasami sosnowymi. Przeznaczać na nie można kawałki gorsze wśród pól albo nieużytki, jak np. tak u nas częste stoki pagórków, biegnących po nad rzekami lub potokami, zwane niekiedy ściankami. Czasami na takich ściankach już są zarosty, które tylko potrzeba dopełnić i zamknąć przed pasącem się bydłem, ażeby się stały doskonałemi remizami, mającemi jeszcze tem większą wartość, jeżeliby obejmowały obfite, w zimie niezamarzające źródło, nęcące zwierzynę latem i zimą.

Wielkość remiz bywa bardzo rozmaitą, bo od 3 do 20 arów, wśród wielkich zaś polnych równin robią remizy jeszcze rozleglejsze, przeszło półhektarowe a nawet większe. Mniejsze remizy zapuszczane bywają na całej powierzchni jednostajnie zwartym zarostem, gdy większe remizy powinny mieć przechody a nawet stawiają czasem w środku budę, ażeby mogła służyć za schronienie lub na zasadzkę dla strażnika. Buda jest potrzebną także i tam, gdzie z remizami łączą zimowe żywienie zwierzyny.

Postać dają remizom, szczególnie wśród pól zakładanym, czworoboczną lub okrągłą, gdy na stokach pagórków postać stosuje się do położenia, nie powinna jednak nigdy przedstawiać wąskiego pasa, tylko zbliżać się do figur o ile można skupionych.

Jak już nadmieniliśmy, remizy są to niskie krzakowate zarosty. Należy je tak prowadzić, żeby tworząc górą gęsto zwartą masę gałązek, spodem nie stawiały za wielkich przeszkód ruchom drobniejszej zwierzyny. Wysokość zarostu nie powinna być wyższą jak 2 metry, wielu jednak niedopuszcza nawet, żeby zarost był wyższy jak 1·5 metra. Tam tylko, gdzie remizy mają służyć także jako schronisko dla sarn, dozwalają zarostowi podnosić się wyżej.

Pojedyńcze, po nad resztę zarostu wznoszące się drzewa, nie powinny być w remizach cierpiane; nawet w bliskości remiz drzewa takie są szkodliwe, na nich bowiem drapieżne ptactwo obiera najchętniej stanowiska, z których wypatruje łupu. Korzystając z tej właściwości drapieżnych ptaków, można wiele z nich wyłowić, jeżeli wśród remiz poumieszczamy na wysokich grubych słupach jakieś łapki, np. żelaza sprężynowe lub samołówki.

Remizy powinny być obwiedzione głębokim rowem, ażeby nie dopuszczać wciskania się bydła. Ziemię z rowu odrzuca się ku remizie, tworząc z niej wał, który obsiewa się miotłowcem, albo obsadza jakimi gęsto rosnącymi krzewami np. ożynami, tarniną, dzikiemi różami. Wał obsadzać też można świerkami, płotkowato strzyżonymi albo nawet kosodrzewiem, który na ziemiach nie za ciężkich i nie za wiele wapna zawierających nawet w nizinach wcale nieźle rośnie i dla tego też zalecanym bywa także do tworzenia samych remiz.

Zarost remiz składać się może z najróżniejszych gatunków krzewów, ale można używać także niektórych drzew, króre jednak wcześnie rozpoczętem przycinaniem wierzchołków zmuszamy do rośnięcia nisko i rozłożysto.

Jednem z takich drzew jest świerk zwyczajny czyli smerek, z którego nawet najłatwiej i najprędzej doczekać się można remizy, sadząc już kilkoletnie, poprzedniem przesadzeniem do tego przygotowane gałęziste drzewka. Z początku dozwala się im rosnąć swobodnie, dopiero gdy dojdą mniej więcej do $^{2}/_{3}$ wysokości, w jakiej następnie mają być utrzymywane, obcina się im do mniejszej połowy pędy szczytów, powtarzając to obcinanie co drugi rok. Gdy dojdą do żądanej wysokości, wtedy strzygą się formalnie nożycami, żeby nie podrastały wyżej, jak potrzeba. Podobnie postępować można ze sosną, która jednak nie znosi tak dobrze powtarzanego kaleczenia przez ścinanie podnoszących się pędów, jak to się dzieje ze świerkiem. Powyżej wspomniany prawdziwy kosodrzew *(Pinus Pumilio)*, a może jeszcze lepiej jego odmiana z haczystemi szyszeczkami *(P. P. var. uncinata)*, rosnąca wyżej, dać mogą na przepuszczalniejszych uboższych ziemiach doskonałe strzyżenia, nie potrzebujące remizy, tylko mają tę wadę, że na remizę trzeba dłużej czekać, bo kosodrzewy rosną dosyć powoli. Oba rosną w taki sposób, że nie tworzą wcale pni rozwiniętych, ale tuż nad

*) Wyborną tę pracę prof. Tynieckiego, zamieszczoną w styczniowym zeszycie „Sylwana", pozwalamy sobie tutaj tutaj z upoważnienia autora przedrukować w przekonaniu, że oddajemy tem łowcom niemałą przysługę. *Redakcya.*

ziemią dzielą się na konary i gałęzie, rozkładające się starszą częścią po ziemi, gdy młodsza część, złożona ze szpilkami okrytych wyprostowanych gałązek, tworzy górą gęsty zarost.

Pomimo, że świerk, kosodrzewy a nawet sosna tworzą piękne remizy, nie jesteśmy za ich wyłącznem sadzeniem, głównie dla tego, że drzewa szpilkowe ulegają łatwo napadom owadów, mogących całkowicie rujnować nietylko remizy, ale całe bory. Mamy tu na uwadze w pierwszym rzędzie świerka, który przemocą i przeciwko naturze trzymany nisko, niszczeć może pod napadami owadów bardzo łatwo i prędko. W mieszaninie drzew szpilkowych z liściowymi gatunkami, niebezpieczeństwo jest o wiele mniejsze, tylko wtedy pilnować trzeba, żeby szpilkowe drzewa nie zostały przygłuszone liściowemi.

Szpilkowe rośliny w remizach są jednak zawsze bardzo pożądane, bo nie tracąc ulistnienia w zimie, dają zwierzynie ochronę w każdej porze roku.

Co do krzewów, to mogą być w remizach najrozmaitsze, a nawet, uwzględniając nietylko ochronę ale i wyżywienie zwierzyny szczególnie zimową porą, zarost czem rozmaitszy, będzie tem lepszy; bo zwierzyna znajdzie w nim pod jednymi krzakami ochronę, z innych zaś zjadać może kory pieńków, gałązki, pączki lub owoc. Nawet zielne rośliny, szczególnie miejscami dużo trawy albo porozrzucane kępy bulw *(Helianthus tuberosus)* są bardzo na miejscu.

Przeciwni zaś jesteśmy sadzeniu jednego tylko rodzaju krzewu.

Żeby zarosty krzaków odpowiadały wszechstronnie zadaniu remiz, nietylko trzeba gatunki ich mieszać, ale w mieszaninie powinny być krzaki także kolczyste, te bowiem kolcami swych gałązek nietylko chronią bardzo dzielnie przed wpadaniem drapieżnych ptaków, ale zawadzają kotom, psom włóczęgom a nawet mogą zawadzać lisom, chociaż kto zakłada remizy, powinien się o to postarać, żeby lisów nie było, te bowiem wyrządzają właśnie w remizach najstraszniejsze szkody, zwiedzając je jako wygodne spiżarnie.

Z naszych kolczystych krzaków najpospolitszą jest tarnina *(Prunus spinosa)*, która jednak przedstawia tę właściwość, że rosnąc wyłącznie albo brzegami zarośli jest kolczystą, w mieszaninie zaś, szczególnie z wyższymi krzewami, traci kolce prawie zupełnie. Lepszym już jest zwykły biały głóg *(Crataegus monogyna,* zwany zwykle *Cr. Oxyacantha)*, który z góry przystrzygany, nawet między innymi krzewami zachowuje kolce. Porozrzucane krzaki ożyny *(Rubus fruticosus)* są równie dosyć kolczyste, gdy ostrężyna *(Rubus caesius)* nie nadaje się tu wcale, chyba na brzegi.

Z obcych krzaków odznaczają się kolczystością niektóre głogi północno-amerykańskie jak np. głóg ostrogowy (*Crataegus crus galli)*, który, jednak musi być ścinany co kilka lat, przez co nietylko trzyma się krzakowato, ale prócz tego puszcza z ziemi kolczyste odrośla. Najkolczystsze są górne gałązki. Także bardzo dobry jest głóg centkowany *(Crataegus punctata)*, który, wykształcając na niskim pieńku poziomo rozłożyste, kolczyste gałęzie, chroni doskonale od góry; należy jednak do rzadszych krzewów. Możnaby tu także przytoczyć rokitnika *(Hippophae rhamnoides)*, mnożącego się łatwo z nasienia a jeszcze łatwiej z odrośli korzeniowych, powstających masami w około starszych krzaków. Udaje się na bardzo nawet jałowych ziemiach i chociaż liście są tu wąskie i nie bardzo kryjące, ale zato miewa tem więcej kolców.

Pośrednie między kolczystymi i niekolczystymi krzewami miejsce zajmuje zwykły jałowiec, który tworzyć może bardzo gęste krzaki, jeżeli się go nie dopuści do tworzenia pieńka. Najlepiej sadzić go brzegami albo na miejscach najjałowszych. Zielonemi szpilkami okryte gałęzie kryją doskonale, suche zaś szpilki są istotnie kolące. Żeńskie jałowce mogą być oprócz tego użyteczne, zawiązując mnóstwo jagodek.

Z naszych krzewów niekolczystych dobrą jest np. olszyna, nietylko jako bardzo liściasta, ale dająca się też utrzymać łatwo nisko i gęsto. Niezłą też jest kalina przez swe owoce, gdy świdzina udaje się bardzo dobrze na ubogich żwirowatych ziemiach, tworząc tam z łatwością gęste zarośla. Jeszcze lepszym byłby dereń na stokach do południa zwróconych, dając tutaj mnóstwo owoców. Zalecić można wiązy korkowe *(Ulmus suberosa)* i paklony *(Acer campestre)* z których pierwszy po ścięciu daje łatwo gęste odrosty korzeniowe, drugi zaś tworzy gęste krzaki. To samo jarzębina nadaje się do mieszaniny w remizach, tem bardziej, że krzakowato trzymana łatwo kwitnie dając obfite, chętnie przez zwierzynę spożywane owoce. Nawet zwykła malina nie zawadzi we większych remizach.

Bardzo dobrym do remiz jest na wilgotnych miejscach jesion; ścinany w krótkich odstępach czasu daje obfite pędy, które zające a nawet sarny chętnie ogryzają. To samo sadzić można w podobnych miejscach różne krzakowate wierzby.

Z obcych roślin zalecają do wyższych remiz północnoamerykańskiego dęba ostroliściowego *(Quercus Banisterii*, zwany także *Q. ilicifolia*, ale nie *Q. Ilex*, który naszego klimatu nie wytrzymuje). Dąb, z którego p. Ligman urządził w sieniawskim kluczu remizę, wytrzymuje nasze zimy doskonale, a starszy rodzi obficie żołądź, zdatną na karmę dla zwierzyny. Najczęściej rośnie krzakowato, gdyby się jednak zaczął rozwijać w drzewo, ścina się go przy ziemi i wtedy rośnie krzakiem. Rozmnażać go można tylko przez nasienie, które jednak rzadko można dostać w dobrym gatunku. Byłoby bardzo pożądane, gdyby p. Ligman zechciał nam dać bliższe wskazówki, jak uprawiał tego dęba. Na niskie remizy, bardzo dobrą jest zadrzewnia kanadyjska *(Dierwilla canadensis)*, która na lżejszych, piaszczystych, ale wilgotnawych gruntach krzewi się i rozłazi bardzo obficie, i gdzie z ożyną może tworzyć doskonale schroniska dla kuropatw. Najniższe remizy tworzyć można z karłowego dzikiego jaźminu *(Philadelphus coronarius var. pygmaea)*, rosnącego z natury bardzo gęsto i nie podnoszącego się wyżej jak 50 do 70 centymetrów. Sadzonym bywa po ogrodach i mnoży się nadzwyczaj łatwo przez dzielenie krzaków.

Nadmieniliśmy już, że remizy powinny być z mieszanych gatunków tworzone, ażeby zwierzynie dawały nietylko ochronę, ale także do pewnego stopnia i pożywienie. Otóż najtrudniej zakładać takie mieszane remizy na ubogich piaszczystych gruntach, ale nie jest to znowu tak bardzo trudne, żeby się ograniczać np. tylko na sośnie i jałowcu. Z liściowych krzewów i drzew (prowadzonych rozumie się niskopiennie) można oprócz kępami sadzonego miotłowca, rozrzucać między sosnę i jałowce rokitnika, grochownika, akacyę białą (czyli robinią), i niektóre wierzby; kuropatwy znajdą ochronę i nawet pokarm, gdy zające podczas zimy niejeden pieniek obnażą z kory. Pamiętać tylko trzeba, ażeby na wiosnę pręty i pieńki pozbawione kory wycinać tuż przy ziemi, czem nie tylko zmuszamy rośliny do puszczania nowych odrośli, ale razem oczyszczamy zarost z chorych, rychło usychających a przytem zdrowym zawadzających pieńków.

Grochowniki *(Caragana arborescens)* najlepiej siać wprost na miejsce, gdzie mają róść a jeżeli wychowujemy je w szkółce, najlepiej sadzić jednolatki. To samo akacye najlepiej sadzić w tym samym wieku.

Z licznych gatunków wierzb, nadają się tylko dwa gatunki do sadzenia na piaskach: *Salix cautifolia* i *S. daphnoides*, pierwsza udaje się na bardzo nawet głęboko wysychających piaskach, gdy druga potrzebuje więcej wilgoci w podgruncie. Wierzby te można sadzić najpierwej, żeby służyły za ochronę dla sosny, można jednak sadzić już między sosniną lub czem innem pierwej wyrosłem; sadzenie odbywa się sztubrami, robionymi z jednorocznych prętów.

Co do miotłowca *(Spartium scoparium)*, tego najlepiej siać wprost na miejsce, bo przesadzenie często zawodzi; skarzą się też często, że zasiew nie zawsze się udaje. Najpewniejsze zasiewy są nasieniem świeżo zebranem zaraz po dojrzeniu, a więc na jesień, to jednak można wykonać tylko wyjątkowo Kto nasienie musi sprowadzać, sieje prawie zawsze na wiosnę, rzadziej późno w jesieni. Żeby nasiona powschodziły jaknajwięcej, miesza się otrzymane nasienie napół z ostrym piaskiem, zwilża wodą i po kilku godzinach przeciera z nim jaknajmocniej, ażeby skórkę zarysować, poczem wsypawszy wszystko w płaską skrzynkę, umieszcza w jakiem nieopalonem miejscu, pamiętając, ażeby piasek nigdy nie wysychał. Najlepiej, jeżeli skrzynkę można zakopać płytko w ziemię. Na wiosnę, skoro tylko ziemia rozmarznie, przygotowuje się głęboko spulchnione place, mające około 20 cm w przecięciu i tutaj zasiewa po kilkanaście ziarek, ugniatając ziemię po posianiu, ażeby przylegała ściśle do ziarn. Ponieważ na ubogich ziemiach niema obawy zachwaszczenia, przeto nie trzeba robić większych placów; można siać zresztą rzadkami. W powyższy sposób przygotowane nasienie miotłowca wschodzi bardzo dobrze, ale miotłowiec jest w pierwszym roku zawsze niepokaźny — dopiero w 2 i 3 roku zaczyna tworzyć krzaki. Najwytrzymalszym jest na ubogich, przypuszczalnych ziemiach, gdy na cięższych, wilgotnawych lub żyznych, bardzo łatwo niszczeje i to często już podczas pierwszej zimy.

Co do wartości miotłowca w remizach jako karma zwierzyny, są zdania podzielone, gdyby jednak nawet kuropatwy ziarn jego nie zjadały, w zimie zaś zające nie ścinały gałązek, to zawsze jako ochrona mieć będzie wielką wartość. Najwłaściwsze jego miejsce będzie na obwodzie remiz, tutaj bowiem tylko, korzystając w całej pełni ze światła, potworzy duże, gęste krzaki, gdy ocieniony, nawet tylko z boków, rośnie więcej szczupło i wysmukło.

Remizy można zresztą tworzyć z najróżniejszych roślin, ale pamiętać o tem należy, że kto remizy zakłada, musi prowadzić wojnę zaciętą z lisami, psami i kotami włóczącymi się samopas, wreszcie z kłusownikami.

W. Tyniecki.

KORESPONDENCYE.

Derewnia, dnia 17. stycznia 1890.

(Z polowań krysowickich.)

Jeszcze nie przestałeś słyszeć o propinacyi, o smutnym losie szlachcica, który z właściciela stał się arendarzem, o żydzie, który nie chce się ustąpić z zajmowanej karczmy, i tym podobnych kłopotach gospodarskich, gdy znów na wszystkie strony słyszysz: „nieurodzaj, brak paszy, głód, ankieta, akcja ratunkowa“ etc. a co gorsza nie tylko słyszysz to, ale i na własnej czujesz skórze, tak, iż mimowoli przychodzi ci czasem na myśl, czy gospodarstwo na wsi nie jest złą nawyczką szlachecką i czy nie mądrzejsi ci, co siedząc spokojnie w mieście, odcinając kupony. Zdawałoby się, że na te czarne chwile szlachcica gospodarza i jego narzekania nie ma w tym roku lekarstwa — tymczasem tak źle nie jest. Znam środek niezawodny — wprawdzie nie radykalny, ale dający się zastosowywać, choćby najczęściej, a zawsze z równie dobrym skutkiem. Jest nim dobra knieja. Ilekroć po trudach gospodarskich uciekłem do lasu, nigdy mnie ten środek nie zawiódł, za każdym razem doznałem tego uczucia co student, jadący na wakacye; tam nie usłyszałem już o nieurodzaju, o gorzelni, propinacyi, ani o innych, kłopotach gospodarskich — a cóż dopiero mówić o uczuciu jakiego doznaje myśliwy, gdy się dostanie do takiej kniei jak krysowicka! Tam już nietylko zapomnienie troski, tam czeka go prawdziwa roskosz myśliwska, a składają się na nią dwie niestety u nas jeszcze dość rzadkie rzeczy: bardzo piękny stan zwierzyny i niezrównany ład i porządek w prowadzeniu polowania!

Dzięki łaskawemu zaproszeniu hr. Stanisława Stadnickiego byłem w możności uczestniczenia w tem polowaniu, o którem dotąd tylko od innych z zazdrością słuchałem. Po trzech dniach polowania, w którem brało udział dwunastu myśliwych, mieliśmy na rozkładzie: 2 dziki, 27 rogaczy, 34 lisy i 121 zajęcy. Cyfry te tak są wymowne, że wielu komentarzy nie potrzebują, dodać więc tylko muszę, że strzelano wyłącznie do starych rogaczy, do zajęcy zaś niektórzy myśliwi nie strzelali wcale.

Knieja krysowicka jest dowodem do czego przy długoletniej racyonalnej ochronie zwierzyny doprowadzić można, a pod względem organizacyi polowania i prowadzenia nagonki może być wzorem, na którym każdy stary myśliwy miałby jeszcze wiele do skorzystania. Arcydziełem w swoim rodzaju było prowadzenie nagonki w ostatnim miocie, w Radynicach, gdzie w młodej, gęstej świerczynie, na nierównym terenie, mimo bardzo silnego przeciwnego wiatru wypędziła nagonka całą znajdującą się w miocie zwierzynę na linię strzelców, a rezultatem tego jednego miotu było sześć rogaczy, sześć lisów i nie pamiętam już ile zajęcy.

Jakkolwiek knieja krysowicka o dwie mile i więcej od domu odległa, przecież miot pierwszy rozpoczyna się już o godzinie 9. — okoliczność, która amatorom polowania prawdziwego dodaje uroku — a długą drogę do lasu urozmaica widok licznych stadek sarn, pasących się na wzgórkach oziminą zasianych, lub też z olimpijskim spokojem przypatrujących się zdala drużynie myśliwych.

To też ten ranny wyjazd, ten ład, porządek, sprężystość, ta ilość zwierzyny, te długie malownicze, świerkami lub

modrzewiami wysadzane linie, to wszystko w połączeniu z prawdziwie serdeczną i dobrze pojętą gościnnością obojga Gospodarstwa, składa się w taką harmonijną całość, że kto raz był na tych myśliwskich godach, nie przestanie o nich marzyć. *Tadeusz Starzyński.*

Kobyla, (powiat Zbarazki) w styczniu 1890.

(Z polowań.)

„Bieda zwykle chodzi w parze“ mówi przysłowie, lecz w przeszłym roku to już całe piekielne zastępy biedy spadły na nasze Podole. Śp. Pol mówił, że „Podole“ płynie mlekiem, płynie miodem – a lud cały wielkim panem“. Co za ironia w dzisiejszych czasach! Nietylko zboża, mleka, miodu, ale nawet mierzwy brak. Pozostały po wyprzedaży inwentarz żywi się iście homeopatycznie — i tylko u zamożniejszych gospodarzy ma nadzieję dożyć upragnionej wiosny.

Ostatnie dwie śnieżne zimy fatalnie oddziałały na stan zwierzyny. Kuropatwy prawie wyginęły, a zajęcy jest ledwie $1/6$ część jak w normalnych latach. Zdaje się, że niskie i rzadkie zboża przyczyniły się także do zmniejszenia zwierzostanu, gdyż drapieżcy, szczególnie skrzydlaci, łatwo w rzadkiem zbożu wyławiali młodą zwierzynę.

Najlepszym dowodem, jak podupadł zwierzostan w naszych stronach, jest wynik dwudniowych łowów w Płotyczy, dobrach Juliusza Korytowskiego. Knieje do tego państwa należące, mianowic e Czerniechów i Jankowce, są tak pod względem kultury leśnej jak i ochrony zwierzyny wzorowo prowadzone. Wszędzie w tych lasach po liniach są tryzubki pod daszkami z sianem i koniczem. Lecz w tym roku w koło tryzubków ucztuje tylko mała liczba biesiadników, o czem świadczą nieliczne tropy.

Na tych dwudniowych polowaniach 27. i 28. grudnia z. r., przy 17. stopniowym mrozie, zabiliśmy 5 kozłów i 34 zajęcy. Jest to tylko $1/4$ część tego, co w innych latach.

Klęska widocznie dotknęła bardziej zajęcy niż sarny, te bowiem są nawet liczniejsze niż przed kilku laty.

Jeśliby lat kilka z rzędu w takim stosunku stan zajęcy się zmniejszał, potomkowie nasi będą już chyba w muzeach oglądali ostatnie wypchane okazy naszych poczciwych szaraków czworonożnych, bo po dwunożnych szaraczkach nawet i takiej pamiątki nie zostanie.

Miejmy jednak nadzieję, że matka przyroda tak srogą nie będzie — a jeśli człowiek, największy niszczyciel, nie przyczyni się do złego — lata dobre wynagrodzą ubytek w zwierzynie.

Od wieków bywały nieprzyjazne wpływy powietrzne, a jednak szarak przechował się jakoś do naszych czasów, bo instynkt zwierzyny bywa nieraz skuteczniejszą ochroną od tak zwanego uczonego rozumu, który daje wymagania wymyślnego dobrobytu, a nie uczy pracy i oszczędności.

W dniach 17. i 18. b. m. odbyły się polowania w państwie Płotyckiem koło Tanopola, również własności Juliusza Korytowskiego.

Pierwszego dnia w rewirze „Czystyłów“ w lesie niskopiennym stokilkadziesiąt-morgowym, obtropiono po świeżym śniegu dwa wilki; lecz jak się potem pokazało basiory te, odpocząwszy pewnie po dalekiej nocnej podróży, wymknęły się przed rozpoczęciem łowów. Gdyśmy w pięciu myśliwych zachodzili miot pierwszy, już wilki wyszły, a mądry lisek przemknął przez linię. Widać tedy, że ród mykitów w tej kniei — blisko Tarnopola, stolicy podolskiej, jest nader zmądrzały i przezorny.

Miot ostatni okazał znów, że bliskość ognisk cywilizacyi nie wpływa zbawiennie na spryt lisi. Oto po ubiciu kilkunastu zajęcy, w ostatnim miocie skrajnym od stawu Tarnopolskiego, gdzie były pozatykane lisie jamy, wyszło na linię strzelców trzy lisy i to bez wielkiego pospiechu, jak gdyby liczyły na nasze dla nich względy. Skończyło się to dla mykitów smutnie, bo na rozkładzie figurowały między zającami w dowód, że śmierć jedna najzaciętszych wrogów.

Dnia 18. b. m. polowaliśmy również w pięć strzelb w rewirze „Małaszowce“ wśród ślicznych kultur świerkowych i modrzewiowych, oraz dębowego wysokopiennego ładnego drzewostanu, nad stawem Iwaczowskim. Widzieliśmy tu kilkanaście sarn, dla których ustawiano lizawki i tryzubki z sianem i owsem. Sarny te jednak były mądrzejsze od Czystyłowskich lisów, bo nie wyszły na strzał mimo wzorowo prowadzonej pogonki. Zabiliśmy tylko 10 zajęcy i lisa. Stanowczo klęska dotknęła tego roku zające w naszych stronach. Dawniej w rewirze „Małaszowieckim“ padało po 60 zajęcy. Prócz dwóch zawalnych zim poprzednich i suszy letniej, trapi zające motylica. Widziałem sam na wątrobie niektórych zajęcy owrzodzenia krupniste, z materyą żółtą, i wodniste większe pęcherzyki. *Mieczysław Konopacki.*

Myszkowce, w styczniu.

(Co nie co o strzelbach i nabojach.)

Jest rzeczą udowodnioną, że ostrzej i gęściej strzelają strzelby o nabojach papierowych jak Drejse Teschner, niż strzelby o nabojach tekturowych — a różnica jest ta: W strzelbach o nabojach papierowych wyrzuca proch zapalony cały nabój z lufy — gdy przy strzelbach z nabojami tekturowymi proch zapalony wyrzuca zawartość naboju a łuska nabojowa zostaje w gnieździe nabojowem.

Tylko doskonale wykończone lufy z dodatkiem prawidłowo i z należytą znajomością rzeczy zrobionego naboju, mogą dać strzał dobry. Na zły strzał wpływają następujące okoliczności:

1. Przybitek, nie oddzielający szczelnie prochu od śrótu.

2. Karb w gnieździe nabojowem, które, jeżeli jest cokolwiek dłuższe od łuski, to między końcem łuski a karbem powstaje niewypełniona próżnia przez którą, gdy przechodzi przybitek, dostaje się gaz prochowy do śrótu i sprawia, że nabój miękko uderzy i rozrzuci. Parę strzałów z lanka strówki, mającej gniazdo nabojowe do dłuższych łusek, krótkiemi łuskami, przekona o prawdzie słów moich.

3. Za krótkie gniazda nabojowe są wielką wadą. Łuski zakręcone u wierzchu włażą w nie, ale odwinięte przez nabój, sięgając na kraj karbu, zcieniają przybitki, które następnie lufy nie wypełnią i bez należytego opornego tarcia wylatują i dają strzał cichy — gdyż gaz dostaje się do śrótu.

4. Łuski tekturowe zwykle nie mieszczą w sobie grubego przybitka z odpowiednią ilością amunicyi, co do dobrego strzału niezbędnie jest potrzebnem.

5. Aby zagięty kraj łuski odgiąć, musi się dać twardy tekturowy przybitek. — Ten, idąc opornie przez lufę sprawia, iż śrót jest między przybitkami mocno ściśnięty, a gdy wyleci z lufy, szeroko się na boki rozlatuje.

Te wszystkie wypadki nie zdarzają się przy nabojach papierowych — wyjąwszy punktu pierwszego.

Chcąc temu zapobiedz robiłem rozmaite próby. Najlepszy wynik był nabojami robionymi w ten sposób:

Stosownie do kalibru dawałem na 1 gr. prochu 7. gr. śrótu i tak:

do Cal. Nr. 16 nabój zwykły

na jesień $4^1/_2$ gr. prochu — $31^1/_2$ gr. śrótu,

na zimę 5 „ „ — 35 „ „

do Cal. Nr. 12.

na jesień $5^1/_2$ gr. prochu — $38^1/_2$ gr. śrótu,

na zimę 6 „ „ — 42 „ „

Proch ten przybijam grubym wełnianym przybitkiem, z dwóch stron cienką tekturką naklejonym, nieprzepuszczającym gazów — który wtłaczam wałkiem, kończącym się półokrągło, tak, że w przybitku robi się zagłębienie. (Przybitek do Cal. Nr. 12 powinien być Cal. Nr. 10.) Następnie biorę rurkę papierową do naboju Teschnera do 12 Cal. rurkę Teschnera Cal. Nr. 1., przecinam ją na pół, zawijam na wałku, którym wtłaczałem przybitkę, smaruję u spodu stolarskim klejem lub gęstą gumą i przyklejam na przybitek. Gdy zaschnie, sypię śrót, który wypełuia rurkę papierową o 1 centimeter wyżej nad tekturę, nakrywam cieniutkim tekturowym przybitkiem Cal. Nr. 12 i zaklejam z wierzchu. Tak zrobionym nabojem zabijam ze strzelby, która na 40 kroków nie zabijała nigdy na miejscu zwierza ani ptaka, do 55 kroków a nawet i dalej każdą sztukę — zaś ze strzelby dobrej — wynik jest nadzwyczajny. Cyrkiel rzutu śrótowego jest równiejszy, niema tych ziarnek zbaczających o wiele od linij strzału, a śróty przechodzą od 8 do 12 arkuszy bibuły więcej, niż przy strzale z naboju, robionego zwykłym sposobem.

Proch do użytku brany powinien być suchy — najlepiej w szkle trzymany — śrót twardy, który jest o wiele lepszy od miękkiego, a zaręczam za skutek. Temi nabojami uratowałem reputacyę strzelbie, o której mówiono, że niema „brandu“ i nic z niej zabić nie można Miał ją jeden znajomy i chciał ją zbyć za co bądź — teraz strzela nabojami wyżej opisanymi i jest z niej zupełnie zadowolony.

Na zakończenie opis wypadku, jaki się zdarzył, a który świadczy, że miałem tak zwany „pech“. Polowałem w kniei z psami — zwierza było nie wiele, a do tego nie miałem spotkania, z wyjątkiem płci pięknej rodu sarniego, których kilka wyszło na strzał. Przed wieczornm puściłem psy w skałę nad Sanem. Na przeciwległym brzegu widać wieś i chałupy, w skale widno psy i zwierza na białem tle śniegu — zaczynają psy gonić, ja stoję na wierzchu, w tem słyszę głos ze wsi: „Niech pan idzie niżej, bo lis minął pana skałą i wyjdzie jak gruba jodła!“ — Biegnę między wywrotami, potykam się i upadam tak fatalnie, że końce luf pakuję w niezamarzłą pod śniegiem ziemię i zatykam niemi obie lufy — próbuję wydobyć ziemię nożem ale trudno... W tem wychodzi na mnie lis krótkim galopkiem i poszedł naturalnie nie strzelany — bo nie mogłem się narażać na pewne rozerwanie luf. A co? nie byłże to „pech“?

Teofil Żurowski.

Z Koźmińskiego (W. Ks. Poznańskie) w styczniu.

(Spostrzeżenia z przeszłorocznego polowania na kuropatwy.)

Z zakątka naszego, jakkolwiek obfitego w drobną zwierzynę, dzięki przestrzeganiom ustaw łowieckich, solidarności myśliwych i rugowaniu na każdym kroku kłusownictwa, rzadko bardzo napotkać może czytelnik jaką wzmiankę w łamach *Łowca*, tego jedynego polskiego organu myśliwskiego, dowodzącą o naszej egzystencyi, czynnościach i spostrzeżeniach myśliwskich. Kto nie zna bliżej stron naszych, przypuścić musi, że brak u nas wytrawnych i wykształconych odpowiednio myśliwych, którzyby się spostrzeżeniami i notatkami ze szerszem gronem kolegów podzielić mogli. Zapewnić mi jednakże czytelnika wypada, że szczycić się możemy prawdziwymi myśliwymi, którzy jak to mówią zęby zjedli na zawodzie łowieckim, i mogliby wiele bardzo ciekawych artykułów *Łowcowi* dostarczyć, gdyby nie pewien wstręt do pióra, który tym panom zapominać pozwala, że bez popierania korespondencyami ze wszystkich dzielnic Polski, to jedyne czasopismo łowieckie z korzyścią i skutkiem rozwijać się i kwitnąć nie może. Niechaj myśliwi Wielkiego Księstwa Poznańskiego, a szczególniej okolicy, z której piszę, pozwolą zwrócić sobie uwagę na to, że większa część myśliwych we Francyi, Anglii i Niemczech są współpracownikami gazet łowieckich, którym, obok statystycznych danych z polowań, przysyłają artykuły, korespondencye, notatki, zapytania we wątpliwych kwestyach łowieckich, i że przez takie wymienianie zdań i zapatrywań, wyjaśniają często nie zbadane dotychczas problematy życia zwierząt, w zakres łowiectwa wchodzących.

Pod względem piśmiennictwa bierzmy przykład z Anglii, w którym to kraju, tak szewc lub krawiec jak i dyplomata lub reprezentant higlifu pracują dla swego organu, już to politycznego, już to zawodowego, poczytując sobie jako zaszczyt i honor każdą pracę literacką, zamieszczoną w łamach swego pisma.

Mam nadzieję, że mi koledzy myśliwi wybaczą to słówko prawdy, lecz moim zdaniem nie tylko szczycić się nam wypada wybornymi strzałami i zręcznością, ale mieć także i krzewienie światła, o ile siły na to zezwalają, na oku. Czemużby Polacy nie mieli tyle działać na polu literatury łowieckiej, co inne narody?

Spostrzegam atoli, że wyszedłem, może zbyt daleko po za ramy wstępu na ten raz nakreślonej korespondencyi; przystępuję więc czem prędzej do mych spostrzeżeń, z którémi chętnie się ze szerszem gronem myśliwych podzielić pragnę.

Rok ubiegły był dla kuropatw w ogóle mało korzystnym. Lęg bowiem tych ptaków w nie wielu zaledwie stronach pomyślnym cieszył się wynikiem, co też było powodem wyższych nieco cen miejscowych na kuropatwy. W stronach faworyzowanych, pod względem ilości, przez korzystne z natury położenie terenu, napotykano jeszcze pod koniec września stadka, zrekrutowane z wyrośniętych i zupełnie słabych i porządnie nie wypierzonych kuropatw, które to okoliczności kazały wnioskować o ponownym lęgu, z którego ptaki, naturalnie znacznie słabsze, łączyły się ze stadkami nie zbyt licznych wypierzonych kuropatw pierwszego lęgu. Zrozumie też czytelnik, że polowanie latosie na kuropatwy nie miało tego uroku, co innych lat, gdyż często, prawie machinalnie, szczególniej drugim strzałem, ubijało się kuropatwę wielkości przepiórki, której zabicie musiało myśliwego źle usposobić.

Polując w dni kilka po otwarciu polowania na kuropatwy, udałem się w nieposieczony potraw, rachując, że ranną godziną najprędzej tam te ptaki zastanę. Zaledwie uszedłem z jakie kilkadziesiąt kroków, brodząc w mokrej trawie prawie po kolana, zrywa się stadko, liczące między sobą ptaka z jaśniejszą niż inne na pierwszy rzut oka głową. Strzeliłem; ubitą kuropatwę wyżeł aportował i od razu wyjaśniła się zagadka, pokryta jeszcze przed chwilą zasłoną niepewności.

Był to wiekowy kogut, mający najzupełniejszą łysinę na czaszce, z której nie tylko piórka wypadły, ale i skóra

prawie zupełnie zeszła. Ze znajdującego się na tylnej części czaszki nacięcia w kształcie półksiężyca wnioskować mogłem, że zdarcie skóry na łebku zostało zadane kosą żniwiarza przy sieczeniu łąk lub koniczyny, prawdopodobnie w chwili, gdy kogut zastępował kurę w wysiadywaniu jaj. Skóra i piórka już nie odrosły, znak tylko kosy pozostał, której uderzenie musiało być o tyle silnie zadane, że bliznę dość znaczną po sobie zostawiło.

Tem większą miałem satysfakcyę, ubiwszy tego weterana, że zdarzenie upewniło mnie o silnej konstytucyi ciała i wytrzymałości tego tak pożytecznego a miłego dla myśliwych kuraka.

Nie mogę na tem tu miejscu pominąć innego jeszcze zdarzenia, dowodzącego wymownie wielkiej zmyślności kuropatw.

Kilka tygodni po ubiciu owego skalpowanego koguta, podczas polowania, służący, niosący zwykle za mną moje spolia opima, przynosi mi niewyrośniętą kuropatwę, twierdząc, że musiała wpaść w sidła, gdyż ma cieczkę poobwijaną. Wziąłem się bezzwłocznie do szczegółowego obejrzenia w mowie będącego ptaka. Przypuścić bowiem nie mogłem, aby kuropatwa tegorocznego lęgu mogła była dostać się do sideł, które kłusownicy w zimowych miesiącach zakładać zwykli. Musiało więc być coś innego. Rzeczywiście cieczka była oblepioną, niżej kolanka aż prawie do stopy, jakąś masą zupełnie skamieniałą. Z pewną trudnością dało się ten bandaż za pomocą noża rozkruszyć, aby do kości się dostać i w ten sposób zbadać rzecz jak była. Pokazało się, że kość była we dwóch miejscach z ukosa przestrzeloną, ale ponieważ była jeszcze w stadyum rozwijania się, zrośnięcie za pomocą bandażu w krótkim czasie nastąpić musiało. Opatrzenie cieczki składało się z cieniuteńkiego włókna, które systematycznie na około miejsca rannego obwinięte było. Jakaś masa, jak się zdaje, z błota i śluzu, tworzyła zewnętrzną część tego rzeczywiście kunsztownie sporządzonego bandażu. Patrząc na ów bandaż, nasuwają się dwa zapytania : 1. czy kuropatwy w podobnych przypadkach same sobie, lub 2. czy jedna drugiej czyni przysługę opatrzenia ran? Zdaje się bowiem rzeczą mało możliwą, aby ranna kuropatwa była w stanie sama sobie bandaż założyć, choć z drugiej strony nie słyszałem, aby sobie ptaki nawzajem miały wyświadczać tego rodzaju przysługi.

Może który ze starszych myśliwych, robiący studya zwyczajów ptasich, a który podobne obandażowanie u kuropatw miał sposobność był widzieć, zechce swe zdanie w tej kwestyi wyjawić, a tym samem pouczyć młodszych i mniej doświaczonych kolegów w św. Hubercie.

W każdym razie niesłusznie postępują ci myśliwi, którzy uważają kuropatwy za ptaki głupie, gdyż nie tylko wyżej zrobione spostrzeżenie, lecz częste szczegółowe badania ich życia dają jeszcze dowody zmyślności i przezorności tego ptasiego rodu.

Z dniem pierwszym grudnia pożegnaliśmy się na kilka miesięcy z tem każdemu myśliwemu tak miłem polowaniem na kuropatwy, wystrzelawszy poprzednio tylko taką ich ilość, jaką, nie robiąc uszczerbku na rok przyszły w gospodarstwie łowieckiem, odstrzelić się dało. Gdy zaś wkrótce po zamknięciu polowania na ptaki spadły śniegi, nie omieszkano i w naszych stronach pozakładać budki, które nie tylko jako schronienie przeciw zwierzętom i ptakom drapieżnym służyć mają, ale przy regularnem zasypywaniu dostarczą i kuropatwom obfitego pożywienia.

To też kończąc na ten raz moją korespondencyę, cieszę się na myśl o kampanii tegorocznej, w której, żywmy w sobie nadzieję, protektorka łowiectwa Diana raczy nas zaszczycić swymi wysokiemi względami, uszczęśliwiając bogatym zwierzostanem i dając nam tem samem więcej sposobności do popisywania się zręcznością i trafnymi strzałami, za co jej z pewnością wdzięczni będziemy. *Lubicz.*

Sprawozdania łowieckie.

— W dobrach Dzikowskich, JE. hr. Jana Tarnowskiego, w ciągu polowań zimowych pod koniec grudnia 1889 i z początkiem stycznia b. r. padło: 647 zajęcy, 130 bażantów, 11 lisów, 7 kuropatw, 4 rogaczy, 3 dziki, razem sztuk 802. Zauważyć tu należy, iż rogacze strzelano tylko wyjątkowo, gdyż oszczędzano je dla polowań letnich na podjazdy. W upłynionym sezonie letnim padło 25 rogaczy.

A. Satkowski, nadleśny

— W Biłce i Kłodnie u księcia Jana Sapiehy. na polowaniu odbytem w pierwszych dniach stycznia, ubito przy bardzo słabym kontyngensie myśliwych 2 dziki, 8 rogaczy, 6 lisów i 59 zajęcy. W ostatnich czasach stan zwierzyny w tych rewirach znacznie się podniósł, dzięki niezmordowanym staraniom ich właściciela. Rzeczywistą ilustracyą tego polowania był mistrzowski strzał hr. Marcelego Tyszkiewicza, który na mierzonych 219 kroków z expresowego sztućca położył na miejscu w pełnym pędzie przez łąkę pomykającego warchlaka. *S.*

— Na polowaniach odbytych 22 października 1889 i 14 stycznia 1890 w dwóch remizach lasowych w Biłce Szlacheckiej, majętności J. O. księcia Jana Sapiehy, ubito 129 zajęcy, 9 kozłów, 8 lisów, 10 słonek, 4 kuropatwy i 1 kota zdziczałego. Nadmienić wypada, że polowanie styczniowe odbywało się tylko w 6 strzelb, a dużo zwierzyny uchodząc flankami, pozostało jako rezerwa doskonała na rok następny.

Wł. Czerkawski, delegat.

— Ze Stanów. Nieustraszeni znaczną odległością ni złą drogą przyjechaliśmy niespodzianie d. 9 stycznia b. r. w 10 strzelb do Stanów koło Niska. Znając niezwykłą gościnność właściciela p. Jana Komorowskiego, prosiliśmy o urządzenie nam polowania. Gospodarz, nie przygotowany na taki najazd, chcąc zabawić gości, wydał rozkaz straży leśnej, by nazajutrz było w lesie 200 nagonki w pogotowiu. W kilkotysięcznym obszarze leśnym brano mioty po 250 morgów, a po polowaniu złożono na rozkładzie 18 rogaczy, 10 zajęcy 4 lisy i jastrzębia. W każdym miocie widzieli myśliwi po 20—30 sztuk sarn.

Podając niniejsze sprawozdanie do wiadomości *Łowca* muszę nadmienić, że przed niedawnemi laty był zwierzostan w lasach Stanowskich bardzo mierny, a knieja słynęła z mnogości kłusowników. Dzisiaj, dzięki energii i zapobiegliwości właściciela, opiekującego się należycie, przez dobraną straż zwierzyną, podniósł się tak wysoko stan sarn, że nie wiele kniei u nas takim stanem poszczycić się może. *M. Jabłoński.*

— W Trościańcu, dobrach p. Apolinarego Jaworskiego, odbyło się polowanie 10 i 11 stycznia b. r. W 7 strzelb ubito 13 rogaczy, 9 lisów i 40 zajęcy. Zważywszy, że ubiegłe dwie zimy bardzo były dla zwierzyny niepomyślne i że w bliskiem sąsiedztwie, niestety, niektórzy właściciele polowań nie szanują zwierzyny, można rezultat ten nazwać bardzo dobrym.

— Kabarowcach, własności p. Bolesława Wierzchleyskiego, odbyło się polowanie 15 stycznia. W 9 strzelb ubito 6 rogaczy i 12 zajęcy.

— W Nuszczu, własności p. Edwarda Zawidowskiego Weissmana, odbyło się polowanie 3 i 4 stycznia. W 12 strzelb ubito 13 rogaczy 3 lisy i 10 zajęcy.

A. W. delegat.

— W Weryni i Kolbuszowie, w dobrach hr. Zdzisława Tyszkiewicza, gdzie zwierzyna łowna doznaje troskliwej opieki i gospodarka myśliwska porządnie jest prowadzoną, polowano w dniach 7 i 8 stycznia Wynik polowania następujący. W jedenaście strzelb ubito 237 zajęcy i 9 rogaczy, trzeciego zaś dnia już w kilka strzelb tylko w odległych rewirach padło 10 rogaczy — 23 zajęcy i 2 lisy.

— W Porchowie u p. Artura Zaremby Cieleckiego na polowaniu d. 18 i 19 grudnia z. r. ubito w dziesięć strzelb 9 kozłów, 4 lisy i 68 zajęcy.

— W Lataczu majętności p. Władysława Krasnopolskiego ubito w 9 strzelb 2 dziki, 5 lisów, 9 kozłów, 70 zajęcy.

— W Torskiem u p. Włodzimierza Siemiginowskiego polowano dnia 16 i 17 stycznia w 14 strzelb. Ubito 4 dziki, 6 kozłów, 2 lisy, 74 zajęcy. Tu nadmienić wypada, że polowanie odbyło się podczas silnej zawierzuchy, wskutek czego strzelano gorzej, inaczej powinno było pójść znacznie więcej kozłów i zajęcy; także i dzikom udało się, gdyż na trzydzieści kilka strzałów padło tylko cztery.

— W Drohiczówce u podpisanego polowano w 10 strzelb dnia 7 i 18 stycznia b. r. Padło 6 dzików, 2 lisy i kilkanaście zajęcy. W ogóle w tym roku, mamy znacznie mniej zajęcy — strzela się prawie same stare; widać że okropna posucha, jaką mieliśmy na Podolu, nie służyła rozmnażaniu się zajęcy, tak samo i kuropatw prawie nic nie mamy. Należy więc, ażeby miłośnicy łowiectwa z tem większą gorliwością opiekowali się zwierzyną. A mianowicie przy wielkich śniegach, jakie obecnie spadły, trzeba dostateczną karmę podawać; przed kłusownikami ochraniać, psy, koty, jastrzębie i wrony wytrwale tępić. A staranność taka w jednym roku, znowu stan zwierzyny znacznie poprawić może. *Tadeusz Cieński*, delegat Tow. łow.

— Na obszarze Spółki myśliwskiej Staniąteckiej ubito w ciągu roku ubiegłego tj. od 1 stycznia do 31 grudnia 1889: lisów 3, psów 25, kotów 33, tchórza 1, wron 88, srok 48, jastrzębi 45. Nadto zepsuto 69 gniazd.

Zwierzyny pożytecznej padło: zajęcy 107, kuropatw 114, przepiórek 21, chruścieli 7, kaczek 20, kszyków 5.

Na obszarze Sledziejowickim w tymże samym czasie ubito: Lisów 7, psów 18, kotów 26, tchórzów 2, jastrzębi 100, wron 156, srok 67, dzików 2, rogaczy 11, zajęcy 258, kuropatw (tylko na zimowych polowaniach) 20, przepiórek 9, chrusścieli 7, kaczek 3, kszyków 5, gołąb dziki 1.

Delegat *St. Larysz Niedzielski.*

— W Janowie (w pow. Trembowelskim) urządzał w dniach 23 i 24 b. m. Jerzy Sewer hr. Dunin Borkowski polowanie, na którem zabito w 10 strzelb 84 zajęcy; 2 lisy, 9 kozłów i 3 dziki a mianowicie starą lochę i dwa warchlaki.

Tak pomyślny wynik polowania zwłaszcza w roku bieżącym, dla zajęcy tak niekorzystnym, przypisać należy niezwykłemu szanowaniu zwierzyny i tępieniu drapieżników.

Wśród ubitych zajęcy odznaczał się jeden prawie śnieżną białością turzycy. Rezultat strzałów był niezły. Padło bowiem 272 strzałów na 98 sztuk, z tych zaś zrobiono dubletę do dwóch dzików.

— W Kostarowcach w pow. sanockim, majątku pana Duklana Słoneckiego, polowano d. 15 stycznia w pięć strzelb i ubito rogacza i 11 zajęcy. Z widzianych 12 lisów, a hodowanych na taniem dziś końskiem mięsie, w skutek strzelania niestety niefortunnego nie padł, chociażby dla okrasy ani jeden. Polowanie prowadzono wzorowo, dzięki gospodarzowi, który dba o zwierzynę — a kocha naturę. *W. W.*

— W Jabłonce w powiecie Sanockim w majątku pana Władysł. Kraińskiego polowano d. 15 stycznia w 7 strzelb i ubito 4 rogacze, lisa i 18 zajęcy. Stan zwierzyny jest tam bardzo dobry, lecz widocznie był to dzień feralny, którego dziś myśliwi już nie przestrzegają, bo strzelano nie tęgo.

W. W.

— W Jabłoniu (Królestwo polskie, gubernia Siedlecka) własności hr. Tomasza Zamoyskiego, polowaliśmy dnia 4 i 5 listopada w sześć strzelb i zabiliśmy 4 rogacze, 83 zajęcy i 63 bażantów, razem 150 sztuk.

Pierwszego dnia w ogrodzie koło domu wesoła pukanina do bażantów nie długo trwała, bo wnet doszliśmy do cyfry z góry przez gospodarza oznaczonej. Chów bażantów praktycznie a tanio prowadzony i rzeczywiście jest ich bardzo wiele.

Drugiego dnia, z doskonale wymusztrowaną nagonką, wzięliśmy 15 miotów w 750 morgowym lasku, podzielonym liniami na kwadraty, ślicznie utrzymywanym i z wszelkiemi wygodami dla polowania urządzonym. Stanowiska są tu obsadzone żywemi płotkami, ładny ogródek z altanką przeznaczony na śniadanie, przed leśniczówką miejsce wysadzone świerkami służy do rozkładu ubitej zwierzyny. Patrząc na to wszystko, a słysząc gęste strzały, zapomina myśliwy, że jest na Podlasiu, gdzie warunki dla chowu zwierzyny tak bardzo niekorzystne, gdzie prawo o ile istnieje wcale nie jest przestrzeganem, gdzie chłop bezkarnie poluje, gdzie wreszcie sąsiad czycha tylko na to, aby zwierz przeszedł w jego granice i strzela nie zważając na porę, kóz wcale nie szanując. Wziąwszy jeszcze na uwagę, że temu lat pięć, kiedy właściciel po kupnie majątku po raz pierwszy w tym lesie polował, padło 7 zajęcy, 1 lis i 1 rogacz razem sztuk 9, trzeba przyznać gospodarzowi, że umie chować zwierzynę i rezultatu jak na te okolice nadzwyczajnego powinszować. Prócz gospodarza i niżej podpisanego brali udział w polowaniu: August i Jan Zamoyscy, Stefan Lubomirski, Juliusz Tarnowski i nadleśny Pawlas. A prócz tych wszystkich, jeszcze dwie panie, hr. Augustowa i Tomaszowa Zamoyskie, które łaskawie dotrzymywały nam swej uroczej kompanij, a choć się może nie przyczyniły do powiększenia „sztreki“, to dodały wdzięku już i tak miłemu dzionkowi. Zapomniałem jeszcze wspomnieć, że i lis jeden był, ale jak zawsze sprytny wybrał sobie stanowisko, na którem para myśliwych stała i czworo wielkich oczów błyszczało — naturalnie uszedł za późno spostrzeżony, unosząc wdzięczność dla tej, która całą uwagę młodego myśliwca zwróciła na swoje wdzięki. Kończę życzeniem dla gospodarza coraz większego przyrostu zwierzyny i przy pomocy Sw. Huberta wielu równie udanych polowań.

Zdzisław Tarnowski.

— W Oksach (w powiecie jędrzejowskim) własności ks. Ferdynandowej Radziwiłłowej, w Królestwie polskiem, na polowaniu jednodniowem w 16 strzelb ubito 162 zajęcy i 2 cietrzewie.

— W Tomaszowie i Kuczkowie, majętności hr. Rodryga Potockiego w Królestwie polskiem, na polowaniu w dniach 30 i 31 grudnia z. r. padło 250 zajęcy, 9 rogaczy i 6 bażantów.

— W Szpethalu górnym (pow. Włocławski) własności p. Z. Rutkowskiego w Królestwie polskiem na polowaniu odbytem w połowie z. m. w dziesięć strzelb, padło 220 zajęcy, rogacz i dwa lisy.

— W Gubaniu pod Nieszawą, własności p. Wł. Pruskiego w Królestwie polskiem, ubito w dwadzieścia kilka strzelb 66 zajęcy i jednego rogacza. Byłoby padło niezawodnie więcej zwierzyny, gdyby nieszczęśliwy wypadek nie przerwał tej przyjemnej rozrywki.

Jeden z młodzieży szkolnej, korzystając ze świątecznych wakacyi, towarzyszył ojcu swemu na polowaniu. Nieobeznany ze zwyczajami łowieckiemi, zeszedł podczas nagonki ze stanowiska w las. W tym samym czasie między linią strzelców a nim pomykał kot, na którego z linji dają strzał; zając pada, lecz z nim równocześnie i młody człowiek, ugodzony ośmiu śrótami w obie nogi. Nieszczęście chciało, że strzelającym był własny ojciec. Że zaś odległość strzału nie przenosiła trzydziestu kroków i w obecnej porze używa się grubego śrótu, rany są bardzo dotkliwe i byłyby niezawodnie śmiertelne, gdyby strzał był padł cokolwiek wyżej. Szczęściem, między myśliwymi znalazło się dwóch lekarzy, na miejscu więc dokonano opatrunku rannego, który długą kuracją okupić będzie musiał swoją nierozwagę. *K. W.*

— W Siedmirogowie, w W. ks. Poznańskiem, na polowaniu, urządzonem ubiegłego miesiąca tylko w trzy strzelby, padło 351 zajęcy i rogacz. — W Gorazdowie ubito na jednem polowaniu 280 zajęcy.

KRONIKA.

Niedźwiedź. Z Wadowic donoszą „N. Reformie.“ Niedźwiedzia potężnych rozmiarów ubito w tych dniach we wsi Rzeki pod Andrychowem, w lasach Augusta hr. Potockiego. Leśniczy dóbr rzeczonych, zawołany myśliwy p. Drapella, zaprosił grono gości na polowanie na dziki. W liczbie gości znajdował się także starosta wadowicki p. Dunajewski. Po puszczeniu nagonki z gąszczu leśnego na granicy wsi Ponikwi, wynurzył się niedźwiedź i z rykiem rzucił się w kierunku stanowiska, na którem stał starosta Dunajewski. Stojący o kilkadziesiąt kroków p. Drapella spostrzegł grożące gościowi niebezpieczeństwo i podbiegłszy szybko, cały nabój lotkowy dubeltówki wpakował w grzbiet napastnikowi. Niedźwiedź, niebezpiecznie zraniony i podrażniony, rzucił się z tem większą zajadłością i rykiem naprzód ku p. Dunajewskiemu, p. Drapella atoli celnym strzałem, tym razem w piersi wymierzonym i śmiertelnym, powalił go na ziemię. Niespodziewany a rzadki łup zawieziono w tryumfie do Wadowic i złożono w gmachu starostwa, zkąd wysłany ma być jako rzadki okaz do gabinetu zoologicznego w Krakowie. Według twierdzenia starych i doświadczonych myśliwych ostatniego niedźwiedzia ubito w lasach Ponikwi w r. 1846. Niedźwiedź ubity przez p. Drapellę przybłąkał się prawdopodobnie ze strony węgierskiej.

Kuropatwom dokuczyły nie mało wczesne tej zimy śniegi. Uważano to szczególniej w Wiedniu i jego okolicach, gdyż biedne te kuraki zapędzają się aż do miasta za żerem. Jedną z takich kuropatw, która przebyła szczęśliwie tor kolei południowej, widziano w ogrodzie pałacowym arcyks. Rajnera. Dwie wrony wyśledziły ją tam niebawem i poczęły na nią bić tak zawzięcie, że nareszcie, niezwykłym u kuropatw lotem, wzbiła się pionowo w powietrze i zniknęła między dachami Wiednia.

Inne kuropatwy, a mianowicie cały ich szereg widziano na dachu koszar żandarmeryjskich przy Mariahilferstrasse. Pochodzenie tych wszakże było inne. Książe Walii zamówił był u jednego z wiedeńskich handlarzy ptactwa 500 żywych kuropatw na chów. Ptaki te, umieszczone po 20 w drewnianych kojcach, transportowano do dworca kolei zachodniej, zkąd czekała ich daleka podróż na Rotterdam do Dowru. Otóż w drodze do dworca spadł z wozu jeden kojec i rozbił się a przestraszone kuraki szukały opieki pod skrzydłem żandarmeryi i dopiero musiano je pojedynczo wyłapywać.

Olbrzymi pstrąg. Z Istryi doniesiono wiedeńskiej *Pressie* w pierwszej połowie grudnia, że w rzece Soczy (Isonzo) rybacy poczmistrza z Plez (Flitsch) ułowili pstrąga, mierzącego 1 metr, a ważącego 12 kilogramów! Jeśli to jest istotnie pstrąg, *(Salmo fario)* tedy byłby to olbrzym dotychczas nie widziany, gdyż rzeczne pstrągi bywają najwyżej do 2 stóp długie, a do 6 funtów ciężkie. Będzie to raczej może pstrąg jeziorny, zwany po niemiecku „Sälbling“ *(Salmo alpinus)*, który w jeziorach alpejskich przebywa, także wędrówki odbywa i do 4 stóp długości dorasta. Okaz złowiony w Isonzo ma być na wystawę rolniczą leśną do Wiednia wysłany.

Połów rekina. Korespondent z Nizzy do „Słowa“, taką podaje wiadomość o połowie rekina na wybrzeżu tamtejszem w połowie grudnia:

„W pewnej niezbyt odległej z tąd miejscowości, wyciągając z rana zarzucone na noc sieci, wydobyli rybacy z wielką trudnością, bo dopiero po kilkugodzinnem wysileniu, rybę z rodzaju rekinów, mającą przeszło cztery metry długości i około półtora tysiąca kilogramów wagi. Rybacy, schwytawszy wielką rybę, zwykli rozpruwać ją natychmiast, aby się przekonać ze znajdującego się we wnętrznościach świeżego żeru, jakiej natury połów udać się im w tej chwili może. Jakże wielkie było zdziwienie obecnych przy tej operacyi widzów, gdy obok szczątków ryb, ważących 15—20 kilogramów, znaleziono w żołądku potwora — ciało dorosłego mężczyzny! Po skonstatowaniu nie wesołego tego odkrycia przez miejscowego sędziego pokoju, rozćwiartowaną rybę rozprzedano na rynku tulońskim“.

W obronie raków. Raki, ulubiony przysmak Paryżan, zupełnie prawie wyginęły tak w Mozie jak i innych wschodnich rzekach Francyi. W obronie znikającego skorupiaka wystąpiła władza, zabraniając połowu raków w departamentach: Mozy, Ardenów, Meurthy, Mozeli i Wogezów.

Co za małpa! Jeżeli nie zmyślona, no, to prawdziwa jest następująca powiastka, podana do wiadomości ludzkiej przez dzienniki medyolańskie. Chłopiec jakiś, siedząc na ulicy, oparty plecami o jednę z kamienic, zajadał spokojnie kawałek chleba na podwieczorek. Jednocześnie z okna na ulicę wyjrzała małpa, a spostrzegłszy chłopca, w kilku śmiałych susach skoczyła mu na ramię i udrapawszy go przy tem w twarz, wyrwała mu z ręki chleb i powróciła ze zdobyczą na okno. Około płaczącego dziecka wnet gromadzić się zaczęli przechodnie, a między nimi znalazł się i ojciec chłopaka, który zaczął grozić właścicielowi małpy i przezywać go na wszelkie możliwe sposoby. Całej tej scenie przyglądała się najspokojniej, ale z uwagą, małpa i widocznie po głębszym namyśle, pojęła o co idzie, powtórnie bowiem skoczyła chłopcu na plecy i nie kalecząc go już tym razem, uprzejmie wręczyła mu przed chwilą zrabowany kawałek chleba. Rzęsiste oklaski i okrzyki zadowolenia towarzyszyły sprytnemu zwierzęciu w powrocie jego na dawne stanowisko.

Delegat nasz p. Józef Skarbek Borowski złożył do kasy gal. Tow. łowieckiego za ubitą przypadkiem kozę na polowaniu w Krakowcu 10 zł. w. a.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie